Nr. 2 (1046). Warszawa, 30 Grudnia 1900 r. (21 Stycznia 1901 r.). **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2. rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

RZECZPOSPOLITA I ARMIA

Podczas rozpraw we francuskiej Izbie poselskiej w grudniu nad projektem amnestyi poseł Lasies, dowódca nacyonalistów w tej zaciętej bitwie, odczytał list majora Cuigneta, ujawniający okoliczności, które jakoby miały wzbraniać rozciągnięcia amnestyi na całe to miłe bagienko, od r. 1899 znane pod nazwą procesu Dreyfusa. Ponieważ oficerom nie wolno jest występować w sprawach publicznych bez opowiedzenia się zwierzchności, o ile ich samo stanowisko z obowiązku tego nie zwalnia, przeto minister wojny, André, człowiek szczerze do rzeczy pospolitej przywiązany, tymczasowo z mocy władzy swojej osadził pana majora na Mont Valérien, a wspólnictwo jego z nacyonalistami w duchu przeciwnym rządowi poddał wydziałowi dyscyplinarnemu stałego sądu wojennego, dla ostatecznego urzędowego stwierdzenia charakteru czynu wobec prawa nakazującego subordynacyę, a grożącego uwolnieniem ze służby. Wydział dyscyplinarny przesłuchał między innymi także i dep. Lasies, a gdy ten pod słowem honoru zaręczył, że z listu odczytanego skorzystał bez wiedzy Cuigneta — zapadło orzeczenie uwalniające majora od odpowiedzialności. W obozie nacyonalistycznym tryumf, w republikańskim — pretensya do Andrégo, że się porwał bez skutku.

Radość pojąć można — bo każdy wierzyć musi w słowo honoru, a nikt roztrząsnąć nie może stosunku podmiotowego honoru do przedmiotowej prawdy: zwycięztwo tedy jest, choć żaden człowiek rozsądny nie wątpi, że Lasies swojem słowem ratował tylko Cuigneta od zguby, a stronnictwo swoje od przykrości. Za to pretensyę republikanów do Andrégo wyrozumieć trudno, jeżeli się nie chce wraz z tłumem uważać męża politycznego za wiekuistego koncertanta czy aktora, któremu nie wolno śpiewać fałszywie, ani zapominać roli, ani też nie myśleć o oklasku. Minister użył środka prawnego: ci więc tylko, którzy wykonywali prawo, za wykonanie samo i ostateczny wynik odpowiedzialnymi być mogą. Szerzona przez nacyonalistów pogłoska, jakoby André pomimo orzeczenia wydziału dyscyplinarnego chciał osadzić Cuignota na nowo w areszcie, jest niedorzeczną. Nie mylą się przecież dziennikarze obu obozów, gdy zapowiadają oczyszczenie armii z oficerów politykujących przeciwko rzeczypospolitej. André, obejmując spadek po Gallifecie, objął w nim i zamiar wydalenia żywiołów swawolących ze szkodą republikańskiego porządku. Zuchwalstwa w Melun i Fontainebleau, ukarane już przeniesieniem, dają oczywisty dowód czujności ministra, obudzonej w kierunku subordynacyi, zarówno ściśle militarnej, jak i politycznej. Chęć wymiecenia stajni jest — nietylko w ministeryum wojny, ale i w samem Elizeum: czy tylko z chęci będzie czyn, a choćby tylko i zamiar?

Pytanie to we Francyi ma jakąś moc tragiczną. Francuz, pamiętający krótki żywot swej drugiej rzeczypospolitej, nie może bez niepokoju, bez trwogi i gniewu myśleć o niesubordynacyi w armii, skierowanej przeciwko rządowi republikańskiemu. Wojsko wówczas było podatnem dla Bonapartego narzędziem, a chwila, w której zgromadzenie narodowe nie zdołało, jeszcze na kilka miesięcy przed zamachem, zyskać sobie siły zbrojnej na własną swą obronę, rozstrzygnęła już i o losie rzeczypospolitej. Proces Dreyfusa wykazał istnienie stałego buntu w armii przeciwko — nie Dreyfusowi, i nie Żydom, ale samej rzeczypospolitej. Że się ten bunt szerzy i że osłabia rzeczpospolitą, odejmując jej to wszechwładztwo, jakie u siebie mieć powinna, jeśli ma być o przyszłość swoją spokojna — o tem wątpić nie można. Nie z samych wprawdzie tylko nacyonalistów i monarchistów wszelkiego autoramentu składają się sztaby oficerskie armii narodowej: są w nich niewątpliwie i szczerzy wyznawcy republikanizmu jako porządku uznawanego za niezbędny dla państwa i ojczyzny; są umysły uległe wobec woli narodowej, nie stawiające pałasza po nad konstytucyę, ani tak pospolitej pychy militaryzmu po nad cześć dla prawa. Gdy jednakże statystyki przekonań, dążeń i apetytów zebrać niepodobna, a rzeczywistość przekonywa o istnieniu przekonań, dążeń i apetytów nieprawych i samą tajemniczością swego rozpostarcia się niebezpiecznych: obowiązek rządu względem narodu, konstytucyi i samego siebie nakazuje mu usuwać te żywioły krnąbrne, bo zawzięte na rzeczpospolitą, które nie lękają się wybuchać na zewnątrz i mówić o sobie „jesteśmy."

„Jesteście? Ale nie będziecie, bo jestem i będę — ja." Takim tylko głosem przemówić można do tego buntu, jeśli się jest i chce być prawdziwym rządem. Jeszcze teraz czas, jeszcze obcięcie latorośli zbyt bujnych może zaradzić złemu; jeszcze samo przyłożenie noża nie grozi żadnem niebezpieczeństwem: nie zbuntuje się armia cała, ani nawet jej odłam znaczniejszy, choć mnóstwo szlif majorskich, pułkownikowskich i generalskich pójdzie do kufrów z pamiątkami domowemi. Ale przy dalszem przyglądaniu się tylko i przysłuchiwaniu tym wszystkim Mercierom i Négrierom, tak licznym w armii republikań-

skiej, może łatwo przyjść kres, po za którym potrzeba będzie już o swe prawo nad armią walczyć i może zdobywać je krwią. Gdyby pretendenci obu barw mieli więcej odwagi i zdolności — takich Mercierów i Négrierów byłoby jeszcze więcej. Niedołężna przecież propaganda nie ustaje ani na chwilę i choć powolnie, robi swoje: podkopuje rząd, rzuca na niego tę samą siłę, która powinna być jego narzędziem. Działanie przeciwko żywiołom wywrotowym nie jest sprawą przekonań, teoretycznych zamysłów i praktycznej mądrości: jest sprawą odwagi. Jeżeli jej zbraknie republikanom, może Francuzom zbraknąć rzeczypospolitej — i czegoś więcej jeszcze. Reakcya monarchiczna miałaby dziś wszystkie właściwości i piętna cezaryzmu sprzymierzonego z białym jakobinizmem: polityczny i moralny porządek ze zgliszcz rzeczypospolitej powstały wziąłby sobie samą wolność na żer.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Rozłam w hakatyzmie. — Patryotyzm i czynniki ekonomiczne. — Walka o robotników polskich. — Patryotyzm stosowany do przemysłu. — Polityka „subtelna.“

Od pewnego czasu spostrzegamy w państwie Hakatyzmu znamienne rozdwojenie. Jednomyślne, idąca zwartym szeregiem olbrzymia armia szerzenia niemczyzny, rozpadła się na dwa obozy i wypowiedziała sobie walkę otwartą. Rozdwojenie to wynikło na gruncie czysto ekonomicznym, na tej twardej opoce, o którą skruszył się patryotyzm pruski, mocno zahartowany w ogniu agitacyjnym. Poszło o tak niezmiernie ważny czynnik w produkcyi rolnej, jak tani robotnik polski. Robotnicy niemieccy przekonali się, że bez tej siły pomocniczej wcale istnieć nie mogą. Pomimo tedy, że Hakatyzm zrodził się z łona rolnictwa niemieckiego, pomimo, że agraryusze pierwsi wyruszyli w pochód bojowy i zdobyli najmocniejsze szańce, obecnie gorąco przemawiają za zmianą polityki i nawet grożą drugiemu odłamowi wojną domową. Tym drugim odłamem są hakatyści miejscy. Ponieważ nie zależy im na robotnikach wiejskich, więc oczywiście mogą wywieszać sami sztandary patryotyzmu i wykrzykiwać swoje hasła z oburzeniem na agraryuszów.

Czynniki ekonomiczne atoli muszą zwyciężyć swoją żywiołową siłą. Ta zaś potrzeba wytworzyła sofistyczne traktowanie wymagań patryotyzmu. Rolnicy wyrozumowali sobie, że sprawa niemczyzny wcale nie ucierpi na dopuszczeniu tanich robotników polskich, że ze strony tych mas ciemnych, potulnych, Bogu ducha winnych, nic nie grozi podstawom państwa i narodowości niemieckiej. Zapatrywania te podzielił również rząd pruski i zgodził się na pewne ustępstwa w tej mierze, co oczywiście jeszcze bardziej podrażniło stronę przeciwną. I oto obecnie na szpaltach pism zawrzała walka; zaczęto bez ceremonii odsłaniać wszelkie tajemnice polityki germanizacyjnej, krytykować takie zabiegi i plany, których względne powodzenie zależy ściśle od zachowania tajemnicy. Cierpi na tem polityka „subtelna“, której zasadą jest tępić czujność Polaków, ujmować ich podstępną łagodnością i tym sposobem osłabiać oporność narodową.

Rolnicy nie tają wcale, że zamknięcie granic przed ludnością robotniczą wiejską, napływającą z Królestwa Polskiego i Galicyi, może wielką klęskę sprowadzić. Przed kilku tygodniami na zebraniu związku hakatystów w Poznaniu większość przyszła do przekonania, że rolnictwo w żaden sposób nie może się obywać bez robotników polskich; ale niepodobna ich wpuszczać bez ograniczeń. Uchwalono tedy domagać się, aby rząd pozwolił im przebywać na terytoryach państwa niemieckiego od 1 kwietnia do 15 grudnia. Przy tem żądano możliwie najsurowszych kar na robotników i zarobkodawców w razie przekroczenia przepisów obowiązujących, t. j. zakazu przyjmowania robotników zagranicznych na służbę. W szeregu ograniczeń umieszczono: zniesienie zniżonej taryfy kolejowej dla robotników, stopniowe ograniczenie emigracyi. Program uchwały streszczono w następujący sposób: „Jeżeli tylko stosunki pozwolą, trzeba według stref wypierać wychodźców słowiańskich; najpierw do Łaby, potem do Odry, następnie pozwolić im tylko przebywać w dzielnicach pogranicznych, t. j. w Poznańskiem w Prusach wschodnich tudzież w Górnym Szląsku, wreszcie zamknąć zupełnie granicę“. W taki tylko sposób, zdaniem hakatystów, można ochronić Poznańskie i Prusy Zachodnie od zupełnej polonizacyi.

Otóż na to wszystko właśnie rolnicy-hakatyści odpowiadają stanowczo, że nie mogą się obywać bez robotników polskich, którzy tak są im potrzebni, jak chleb powszedni i to nie tylko podczas robót polnych, przez rok okrągły. Są przypuszczenia, iż rząd będzie się starał w inny sposób zaspokoić żądania rolników niemieckich: poczyni pewne ustępstwa co do sprowadzania i przebywania na terytoryach państwa niemieckich robotników polskich, a jednocześnie rozwinie wszelkie zabiegi o tanie siły robocze z innych krajów. Przed kilku laty projektowano sprowadzenie robotników z Chin. Kto wie, czy obecnie przy układach z tem państwem Niemcy nie postawią warunku dostarczenia im bezpłatnej lub przynajmniej bardzo taniej siły mięśniowej.

Politykę specyalną, patryotyzm stosowany do przemysłu, wypowiedziano w osobnej broszurze, wydanej przed paru miesiącami p. t. „Kwestya polska w nadreńsko-wesfalskim okręgu węglowym“. Oto jedenaście punktów znamiennej recepty:

1) Należy pohamować niechęć, jaką mają Niemcy wszystkich stanów i wyznań do Polaków w obwodzie przemysłowym. Trzeba zwracać uwagę Niemców, że jest błędem prześmiewać i odpychać Polaków i Mazurów, życzliwie usposobionych dla Niemców—jako „Polacken“. Przeciwnie—trzeba starać się o to, ażeby dobrze byli przyjmowani w kołach niemieckich i wedle sił popierać ich przyjmowanie do patryotycznych towarzystw niemieckich (gimnastycznych, wojskowych i t. d.). 2) Należy jaknajbardziej ułatwić Polakom zniemczanie ich nazwisk. Powinno wystarczyć w tym celu proste zameldowanie w sądzie okręgowym. Nazwiska powinny być zmieniane stosownie do ich znaczenia w języku polskim, np. Piekarz na Bäcker lub przez dodanie końcówki niemieckiej na miejsce polskiej; np. Kowalski na Kowaler, albo wreszcie przez zupełne przetłomaczenie, np. Lwowski na Lemberg. Koszty odpowiednich ogłoszeń opłaca państwo. Pracodawcy i władze mają starać się o wpływanie w tym względzie na robotników polskich. 3) Dozwolony jest tylko napływ Polaków krajowych; z drugiej strony jeszcze surowiej niż dotąd baczyć należy, aby nie powiększać ich liczby przez napływ Polaków zagranicznych. 4) Prasa polska w obwodzie nadreńsko-

---

Gustaw Daniłowski.

Przerwana chwila.

Jerzy Bicki po długiej, zaciekłej krętaninie doprowadził się do takiego stanu rozjątrzenia, iż stał się dla najbliższych nietylko nieznośnym, ale i niebezpiecznym.

Istniały tematy, których wobec niego niepodobna było poruszać.

Z gadatliwego i wesołego stał się ponury i milczący, a gdy odezwał się, to głos zdawał się wychodzić z najgłębszych pokładów zdławionej piersi i był zazwyczaj protestem przeciwko mowie.

— Mącenie *eterru* — to nie *rrobbota*, koledzy! — rzucał z pasyą w środek rozkrzyczanego zebrania warczące zdanie i niezwykle wzruszony opuszczał szybko pokój ze łzami w oczach, jak twierdzili niektórzy.

Co gorsza, działał w sposób tak manifestacyjny i wyzywający, jakby mu chodziło o to, by z przesiąkniętej grozą atmosfery ściągnąć na swą głowę piorun. Może spodziewał się znaleźć w tem wrażenie gorącego czynu, bolesny lecz widomy stygmat swej działalności, a może łaknął ofiary? Spostrzegłszy to koledzy uznali za konieczne wyprawić go na czas dłuższy z miasta, by się rozerwał, a zwłaszcza oderwał od zajęć i połączonej z niemi febry duchowej.

Wyrok wydano zaocznie, a wykonanie poruczono dwom najbliższym towarzyszom Jerzego: doktorowi Orskiemu, który imponował wyrobieniem i powagą, i inżenierowi Świdrowi, znanemu z potoczystej wymowy.

To połączenie artyleryi z lekką kawaleryą zdobyło twierdzę oporu Bickiego. Po godzinie zaciętej walki Jerzy popadł w stan biernej apatyi i oszołomienia, a zanim zdołał się opamiętać, gorliwi przyjaciele wyznaczyli mu miejsce pobytu, przewieźli wieczorem na dworzec, polecili wyszukać letnie mieszkanie dla wspólnych znajomych i, uściskawszy serdecznie, po trzecim dzwonku ulotnili się, jak widma. Potężny jęk lokomotywy przedarł powietrze, skrzypnęły łańcuchy, wagony się zachwiały i potwór z żelaza ruszył naprzód. Jedyny towarzysz podróży, fertyczny jegomość o zacięciu komiwojażera i wybitnie semickich rysach, po bezowocnych dwujęzycznych próbach nawiązania rozmowy, mruknąwszy niezbyt pochlebny dla Jerzego komplement w trzecim, rodzinnym, zaczął się gotować do snu. Jerzy zaś, niemal zdziwiony tem, że jedzie, wsparty na oknie drgającego wagonu, uczuł, jak mu co chwila wpadają w oczy migotliwe latarki zwrotnic i różnokolorowe światła sygnałów, które, okręcając się naokoło swej osi, mknęły szybko w tył i znikały w mroku nocy.

— A jednak mnie się pozbyli!.. — pomyślał z goryczą Jerzy, i naprzód zawrzał w nim głuchy gniew, a później z niesłychaną siłą rzuciły się nań wszystkie te zmory, od których go chciano oddalić: więc przeświadczenie o tem, że spełnia pracę Danaid, plugawa świadomość bezsilności, szarpanie się konających, zgnilizna żywych, pewność i straszliwy lęk zatracenia.

Znękany, z chłodem w szpiku kości legł na ławce i zaciskając powieki, jękiem wewnętrznym błagał o omdlenie lub sen...

westfalskim musi być surowo dozorowaną; w tym celu należy zobowiązać wszystkie pisma polskie, ażeby obok tekstu polskiego drukowały tłomaczenie niemieckie. Zagranicznych pism polskich należy wogóle zabronić, ponieważ nie można mieć pewności, że będą zajmowały stanowisko lojalne względem państwa i ponieważ nie można nad niemi wykonywać skutecznej kontroli. 5) Trzeba dążyć do tego, ażeby wszystkie zebrania w okręgu przemysłowym odbywały się w języku krajowym, t. j. niemieckim. Sprzeciwiającą się temu literę prawa w sądach administracyjnych należy ewentualnie znieść w drodze ustawy. Dzieciom szkolnym polskim należy zabronić udziału w tych zebraniach, mianowicie trzeba im zakazać wygłaszania wierszy i przemówień polskich. 6) Towarzystwa polskie w obwodzie przemysłowym winny być nadal dozorowane. Noszenie strojów polskich, urządzanie demonstracyj polskich, jak np. umieszczanie polskich napisów firmowych, winno być zabronione. 7) Należy w drodze prawnej rozporządzić: ażeby ordynacyę górniczo-policyjną wyższego urzędu górniczego w Dortmundzie (z dnia 25 stycznia r. 1899), rozciągnięto nad wszystkiemi gałęziami przemysłu. Rozporządzenie to głosi, że robotników, nie umiejących płynnie mówić i czytać po niemiecku, nie należy zatrudniać na punktach niebezpiecznych; robotników zaś nie umiejących wogóle po niemiecku, wcale w górnictwie zatrudniać nie wolno. Natomiast szybkie i gruntowne uczenie się języka niemieckiego należy osobno nagradzać. Sekretaryaty sądowe, władze, knapszafty należy zobowiązywać do denuncyowania u władzy nadzorczej tych robotników niemieckich, którzy przed sądem wypierają się znajomości języka niemieckiego. 8) Pożądane jest, ażeby pracodawcy nie tolerowali ruchu polskiego i oddalali agitatorów polskich. 9) Pożądane jest, ażeby okrąg węglowy i żelazny, w którym przebywa $^4/_5$ wszystkich Polaków, połączono w jeden obwód administracyjny, co może ułatwić jednolite traktowanie Polaków. 10) Języka polskiego stanowczo nie należy dopuścić do szkoły tudzież do szkół uzupełniających i do nauki „konfirmandów (t. j. nauki przygotowawczej do sakramentów). 11) Ze stanowiska narodowego należy bezwarunkowo powstrzymać w okręgu przemysłowym duszpasterstwo polskie i władze duchowne nie powinny uwzględniać rosnących ciągle pretensyj Polaków, raczej należy duszpasterstwo polskie ograniczyć i znieść zupełnie.

Pomimo wszakże coraz dzikszych pomysłów, podniecających nienawiść plemienną, polityka „subtelna“, mająca na celu zlojalizowanie żywiołu polskiego, rozwija się coraz bardziej. Jest ona wynikiem doświadczenia i rachuby zawiedzionej.

et.

Z NIEMIEC

Berlin, 8 stycznia.

Nowoczesny bandyta.

Gdybym się lubował w paralelach historycznych, tobym bohatera niniejszej korespondencyi zestawił z Kantem. Mędrzec królewiecki, jak wiadomo, zakreślił linię graniczną pomiędzy wiedzą doświadczalną, a rojeniami metafizycznemi. August Sternberg zaś — oto imię naszej znakomitości — usiłował wykopać nieprzekraczalną przepaść pomiędzy uczuciem a praktyką życiową. Nie w teoryi, nie drogą bibuły uczernionej propagował swą epokową ideę. „Precz z ideałami, precz z sumieniem, niech żyje Mammon,“ tak brzmiała skromna, a szczera dewiza, która niby słup ognisty kroczyła przed naszym bohaterem. Po raz pierwszy narodziła się owa idea rozgraniczenia uczucia i praktycznego rozsądku w umyśle Sternberga przed 20 kilku laty, gdy w pewne piękne południe przechodził około gmachu giełdy. Boleśnie dotknął jego serce widok świątyni pieniądza, wypełnionej po brzegi żydowskimi tylko kramarzami. Dlaczego chrześcianie nie składają hołdów złotemu cielcowi? Dlaczego wstydzą się tego, co jest celem i konsekwencyą życia naszego—*businessu*. Żydzi zwyczajem swoim powitali Sternberga na giełdzie dowcipem, w przekonaniu, iż intruz opuści za chwilę ziemię, przeznaczoną dla ludu wybranego. Omylili się jednak grubo. Już po kilku miesiącach wprawił Sternberg w postrach giełdę swą spekulacyą dętemi akcyami, którą rujnował do ostatniej nitki tysiące ludzi, a po roku posiadał najpiękniejszą willę w dzielnicy Thiergartenu. Jak mityczna postać z „Wojny“ Stucka kroczył on po przez góry trupów, a w miarę tego jak hekatomba rosła, nogi jego nabierały siły i elastyczności. Tu kończy się pierwszy okres działalności społecznej Sternberga, przez który wije się jako nić przewodnia myśl, iż można w biały dzień, w oczach całego świata dokonywać gwałtu i mordu i przytem nietylko ujść kary, lecz posiadać willę z 17 służącymi. Myśl tę bardzo treściwie wyłożył Sternberg w klasycznym napisie *suum cuique*, widniejącym na froncie jego willi. Teraz, zadawszy pierwszy potężny cios przesądom ludzkim, Sternberg przystąpił do oczyszczenia stajni Augiaszowej, zwanej prasą. Zwykle, gdy brał do ręki jakiś dziennik, uderzały go niemile frazesy w rodzaju: „cnota,“ „ideał,“ „sumienie“ itp. Dlaczegoż dziennikarz, pławiący się sam w brudach, nie nazywa rzeczy po imieniu, dlaczego obwija w bawełnę swe drapieżne instynkty? I oto Sternberg postanowił założyć własny organ dla wyplenienia w prasie metody symbolicznego stylu. Lecz skąd wziąć człowieka godnego czynu tak bohaterskiego? Szczęście chciało, iż Sternberg zapoznał się z mecenasem Saulem. Saul cieszył się wówczas sławą najdoskonalszego adwokata ze względu na swe wszechstronne wirtuozowstwo obrończe. Podczas gdy np. Frydzio Friedmann wygrywał sprawy dzięki swej dziwnej metodzie przedstawiania oskarżonego, jako idyoty godnego litości, Saul posługiwał się najrozmaitszymi sposobami. Opowiadają, iż raz podobno, nie mogąc dać sobie rady, zaczął podczas obrony tak rzewnie szlochać nad losem swego klienta, iż wprawił w płacz całe audytoryum. Lecz na skutek niesłychanego powodzenia stracił równowagę, przestał odróżniać prawdę od kłamstwa, przyzwoitość od nieprzyzwoitości. Pewnego razu np. przyszedł do jakiegoś salonu w białem jak śnieg ubraniu i zaczął dowodzić zdziwionym gościom, iż białe jest czarnem, a zatem i ubiór jego jest czarnym. Co gorsza, jako mataczu i sławny obrońca, stał się postrachem Berlina. Korzystając z tego, wyprawiał publicznie tak niesłychane awantury, iż palestra tutejsza po długiem wahaniu widziała się zmuszoną wykreślić go z listy adwokackiej. Tego oto jegomościa zamianował Sternberg redaktorem swoich *Berliner Neueste Nachrichten*. Cieszą się one między innemi protekcyą znanego mandaryna Mi-Kwela. Pismo to pierwsze pozbyło się wszelkich sentymentów i wypowiadało społeczeństwu szczerze idee Sternberga, dające się streścić w horacyuszowskiem: *Virtus post nummos*. Organ ten w krótkim czasie zyskał za swą serdeczną szczerość sympatyę finansjery i przeszedł na własność Kruppa.

Ominąwszy tysiąc i jedno niebezpieczeństwo, które czyhały zewsząd na jego uczucie, Sternberg zrozumiał, iż najsilniejszemi pokusami jest najeżona droga

---

Zwolna minął zenit męczarni; po chwili Jerzy poczuł budzącą się w nim odporność i instynktownie jął liczyć miarowe takty w uderzeniach kół, szukając w tych rytmicznych wahaniach ulgi i ucieczki. Środek skutkował. Rozżarta, rozprężona hydra boleści, chowając żądła zatrute, jęła się szybko kurczyć i pod piersiami zwijać w kłębek zwarty i ciężki; prócz ucisku w tym punkcie Jerzy doznawał wrażenia niezwykłej suszy wewnętrznej, jakby po przejściu palącego wichru, do czego dołączało się mętne lecz nieznośne poczucie raptownego wyjałowienia mózgu i mechaniczności rachunku — raz, dwa, trzy, który, niby rozpędowe koło, nabierał wstrętnych cech konieczności martwej i nieprzerwalnej.

Nagle takt i ton łoskotu kół zmienił się.

Jerzy, niemal przerażony tem zjawiskiem, podniósł powieki i ujrzawszy za szybą czerniejące kraty mostu, wstał i patrzał:

W dole świeciła rzeka, jak nieruchoma, matowa blacha, oprawna w szeregi coraz gęściej ustawionych latarni, które w postaci dwóch świetlnych, zbiegających się linij rozwiewały się w mrocznej dali. W pobliżu jednej z nich czerniała w mglistych zarysach wydłużona wysepka, a z tyłu, nad nią, piętrzyły się, jak skały, ciemne sylwetki domów przedmieścia z jasnemi, migotliwemi plamami oświeconych okien... Wkrótce most skończył się, wagon się chybnął, znów szybciej zadudniły koła, a zamiast ciemnych krat za szybą jęły się żarzyć ogniste sznurki, jak druty rozpalone. Chwilami drut się przerywał i kładł się na ziemi w postaci iskry niknącej szybko, to znów kilka naraz równoległych szeregów wykwitało za oknem i spadało na dół deszczem ognistym. Nagle, jak potwór mglisty, nadleciał tuman dymu i pochłonął świetny fajerwerk.

— Zgasło — z ściśniętem sercem wyszeptał Jerzy, wpatrując się w dawno niewidziany obszar rozległej równiny, który się przed nim otworzył.

W wilgotnej ciemności nie mógł rozróżnić: czy to łąka, czy pole? Widział tylko, że ta płaszczyzna zlewa się ciemnymi krańcami z mrokiem horyzontu. Strop nieba wydawał się niezwykle blizki, mało wklęsły i jakby powleczony dymem. Gdzieniegdzie tylko w tej mętnej cieczy mieniły się rzadkie i nikłe kropelki gwiazd, a w dalekich cieniach zapalały się od czasu do czasu ciche i słabe ognie błyskawic. Nie miały one jednak zwykłej postaci szybkich i ostrych zygzaków, były to raczej blade, rozlewne łuny jasności, coś, jakby uśmiech rozświetlający posępne oblicze nocy żałobnej po dniu wo łzach zagasłym.

Czasem znów zdawało się, że tam za chmurami rozesłane przez Boga migają w szybkim locie aniołowie, a jak który z nich trąci skrzydłem o mroczną nieba powłokę, to się ona na naziemską światłość otwiera.

To też ilekroć strop nieba się rozwidniał, z najgłębszych tajników duszy Jerzego tryskał jakiś cieplejszy, łkający zdrój, balsamem cichego smutku oblewał mu serce rozdarte, a kamień w piersiach roztapiał w łzy. Wyczerpany subtelną rozkoszą smutku, osunął się wreszcie bezwładnie na ławkę, oparł się o zawiniątko i zamknął oczy, pogrążając się zwolna w stan pół-snu, pół-czuwania.

Urywki świeżych wspomnień i wrażenia dni ubiegłych wiązały się z majaczeniami sennemi w chaos luźnych obrazów. Słyszał wszystko, co się wokoło niego działo, ale tak, jakby ze znacznej odległości. Wiedział, że jedzie, ale nie zdawał so-

popędów sercowych i samczych. W uszach jego rozlegał się zewsząd śpiew uroczych syren, ażeby zatem nie sprzeniewierzyć się pieniądzowi, obok którego nie uznawał żadnych bóstw, Sternberg, niby mityczny Odyseusz, kazał przywiązać się do masztu. Sposób był bardzo prosty. Kochać można jedną, wyjątkowo kilka, lecz nigdy setki kobiet. To też Sternberg w bliżkości swej willi urządził sobie kilkanaście jatek z mięsem kobiecem, które spożywał w przerwach pomiędzy jedną spekulacyą a drugą, pomiędzy jednem oszustwem a drugiem. Ażeby zaś urozmaicać sobie swe uczty, milioner wciąż zmieniał personel swoich haremów, wyrzucał na bruk każdą hurysę, która mu obrzydła. Nie pomagały ani lamenty, ani groźby, Sternberg wiedział, iż nie ma się czego obawiać. Cała armia prywatnych szpiegów była na jego żołdzie, kohorta szlachetnych i dobrze płatnych adwokatów, niby sfora psów, gotowa była poszarpać każdą osobę nienawistną potentatowi; dyrektor policyi Hüllesem był jego najlepszym, rownież płatnym, przyjacielem, a kąty domu Sternberga wycierała stale magnateterya. Tak z roku na rok rosła potęga naszego Rinaldo-Rinaldiniego. Wszystko zginało się przed nim Nie było bezeceństwa, któreby mu nie uszło płazem. I oto od upojenia się tą wszechpotęgą narodziła się w głowie Sternberga dzika myśl. Dlaczegożby on, władca dusz i ciał, wszechmożny mocarz pieniężny nie miał zaspakajać chuci w sposób nietylko zabroniony przez prawo, ale potępiany przez moralność zarówno cywilizowanej, jak dzikiej ludzkości? Dlaczegoż miałby żenować się zakazem płciowego obcowania z nieletniemi dziewczynkami? Lecz tu musimy rzucić na czyny Sternberga zasłonę dyskretnego wielokropka i wypełnić tylko ostatnie daty jego znakomitego życiorysu. Dość, że przez lat kilkanaście Sternberg zaspakajał swój apetyt smakołykiem ludożerczym, aż nareszcie i ogół dowiedział się o zboczeniach psychopatologicznych milionera. Pewna młoda dziewczyna, której ojciec leżał w szpitalu, a matka roznosiła gazety, przeczytawszy ogłoszenie o dziewczętach, poszukiwanych dla pozowania malarzowi (malarzem tym był Sternberg) udała się pod wskazany adres i wpadła do jednego z lupanarów Geldhaba. Po kilku tygodniach atoli dziewczyna opowiedziała wszystko matce. Ta pobiegła do redakcyi *Morgenpost*, młodego wówczas dziennika, który, chcąc zyskać sobie popularność ludowego organu i kilkudziesiąt tysięcy prenumeratorów, rozgłosił cały wypadek. Sternberg, lubo nie poczuwał się biedaczysko do niczego, zwęszył, że sprawa może mieć smutny epilog. Kazał zatem zawołać matkę dziewczyny, dał jej tysiąc marek odczepnego, dziewczynę zaś wysłał do Gracu na wyższą pensyę. Ojciec, dowiedziawszy się o szczęściu, które spotkało rodzinę, wkrótce wyzdrowiał. Nieszczęście jednak chciało, iż w policyi służył tajny policyant Stierstädter, syn rodziny zrujnowanej przed laty przez Sternberga. Policyant ten ślubował zemstę bankierowi i, skorzystawszy z nadarzającej się okazyi, doszedł bardzo szybko po nitce do kłębka. Gdy Stierstädter wpadł na trop składów delikatesów samczych milionera, doniósł o tem dyrektorowi policyi Hüllseimowi, osobistemu przyjacielowi Sternberga. Dyrektor kazał aresztować Sternberga, lecz polecił wykonać to zawziętemu Stierstädterowi w nadziei, iż przy osobistem poznaniu milionera zmięknie on pod wpływem uroku, wiejącego od tej osobistości. Sternberg, hołdując wzorom klasycznym, postanowił użyć najniezawodniejszej metody sokratycznej. „Czy widzisz Pan ten dom, który obecnie mijamy?“ rozpoczął swój dyalog. „Widzę,“ brzmiała odpowiedź agenta. „A czy wiesz pan do kogo należy?“ „Wiem, to pańska własność.“ „A czy chciałbyś posiadać ten dom?“ I stała się rzecz dziwna. Teraz Stierstädter wziął na siebie rolę Sokratesa, a Sternberg schwytanego na rynku i nawracanego młodzieńca. „A czy wiesz Pan, co grozi człowiekowi, który chce przekupić urzędnika?“ Sternberg włożył binokle, aby przyjrzeć się tak rzadkiemu okazowi.

Sternberga skazano na 2 lata więzienia. Potentat zawrzał gniewem. Więc po to pracował w pocie czoła, nie dosypiał nocy, nie dojadał przez lat dwadzieścia kilka? Więc tak odwdzięcza mu się społeczeństwo za to, że dał zajęcie tysiącom ludzi w swych browarach, kopalniach i fabrykach. Postanowił, idąc za radą Heddy Gabler „zginąć pięknie.“ I oto on, który wstawał w nocy, aby przekonać się, czy w kuchni nie zapomniano zgasić gazu, złożył teraz okrągły milion w ręce wspólnika, aby „sprawiedliwości stało się zadość.“ Adwokaci natychmiast założyli apelacyę. Najęto wszystkie prywatne biura tajnej policyi (detektywów), aby świadków otoczyć kordonem. W domu najważniejszego świadka, trzynastoletniej Frydy Woyda, wszystkie próżne mieszkania obsadzono załogą szpiegów, mających odosobnić dziewczynę i jej krewnych od otaczającego świata. Nawet prokuratora otoczono ochroną nadzorczą, aby śledziła każdy jego krok i zawiadamiała wnet kogo należy. Główny adwokat, słynny Sello, za otrzymane tytułem honoraryum 100 tysięcy marek podjął się między innemi traktowania z przekupionym komisarzem policyjnym, Thiel'em, usposabiania go na korzyść podsądnego. Ten sam komisarz zawiadamiał na zasadzie aktów policyjnych o grzesznej przeszłości każdego świadka, tak, że adwokaci mogli w każdej chwili zdyskredytować zeznania świadków obciążających Sternberga. Zresztą, gdy jakiś świadek uporczywie obstawał przy swych oskarżeniach, wnet przekupywano ojca pijaka, ciotkę, lub babkę, którzy na wniosek obrońców opowiadali, jak to odnośny świadek odznaczał się kłamliwością już w kołysce. Proces toczył się przez siedem tygodni. Dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności wszystkie machinacye wyszły na jaw, tak, iż obydwaj obrońcy, u których urządzono biuro najmu świadków, musieli zrzec się swych obowiązków, komisarz policyjny, Thiel, został uwięziony, a wspólnik Sternberga uciekł. Pomimo to zbrakło dowodów przeciw Sternbergowi i tylko dzięki naciskowi opinii publicznej sąd skazał go na 2½ lata ciężkiego więzienia. Sternberg wygłosił w swej obronie półtrzeciogodzinną mowę, a na zakończenie zapewnił, iż w testamencie zapisał kilka milionów dla ludzi pozbawionych zajęcia, pod warunkiem, ażeby rząd pruski urzeczywistnił marzenie Louis Blanc'a o „prawie do pracy.“ Przed sądem kryminalnym, gdzie toczyła się sprawa Sternberga, znajduje się posąg, który przedstawia groźnego lwa, duszącego hydrę. Hydra kamienna jest mała, nikła i słaba, a jednak, gdyby zaproponowano lwu, aby zamiast hydry dusił Sternbergów, odpowiedziałby prawdopodobnie czterowierszem Michała Anioła:

> Grato m'e dormir e piu l'esser di sasso
> Mentre, che il danno e la vergogna dura
> Non veder, non sentir m'e gran ventura
> Però no destarmi och parla basso. .“ *)

H. F.

*) Przyjemnie mi, że śpię, i więcej jeszcze, żem
Dopóki trwa grzech i hańba; | z kamienia.
Nie widzieć, nie czuć — wielkie to szczęście
Dlatego nie budź mnie — o cicho mów...

---

bie sprawy, dokąd? Wark kół wydawał mu się jakimś głuchym łoskotem, idącym z pod ziemi. Czuł, kiedy się pociąg zatrzymywał; rozróżniał przenikliwe jęki dzwonków, ale nie był pewien, czy to dzwonek stacyi, czy też szczęk mieczy?..

Nagle ujrzał się pod kolumnami posępnego gmachu; czerwone cegły murów wydały mu się skrzepami krwi, a rysy karyatyd, zgiętych boleśnie pod brzemieniem wyniosłych krużganków, zaczęły przybierać kształty twarzy, ze ślepych jam ich oczu wyzierała zrezygnowana rozpacz i lęk upodlenia wszystkich nędz świata...

W duszy Jerzego, szarpanej szałem przeraźliwej żałości, zbudził się zdawna drzemiący wulkan. Schwycił oburącz kolumny wilgotne, jak gdyby śluzem łzawym ociekłe, i jął się przy nich szamotać; tłumne zaś zbiegowisko przyglądało mu się zrazu ciekawie, póżniej, gdy skrwawił dłonie, lekceważąco, a gdy słupy nie drgnęły, wybuchnęło szyderstwem.

Wtenczas on, stojąc pod pręgierzem własnej niemocy, w obeldze wolan, modlił się śmiertelną bladością twarzy o litościwy kamień, którym go jeszcze nikt nie śmiał uderzyć.

Zwalił się nań nie kamień, lecz przeszywające wejrzenie ukochanych oczu, nad wyraz wymowne, nieodwołalnie wskazujące mu wyzwolenie li tylko w śmierci. Było to spojrzenie szybkie jak wystrzał, i wżarło mu się gorącą kulą pod serce, bo oblicze, z którego wypadło, nietylko było zawsze umiłowane, ale w tej chwili zbarwione po czoło purpurą wstydu za niego.

I stał się cud zbawczy.

U stóp Jerzego otwarły się cicho czeluście ziemi o rdzawych zrębach. W uroczystych głębinach tej przepaści tliły się jasne ognie ofiarne.. Lżący tłum zastygł w ciszy, łuna krwawa na licach ukochanych przygasła, a potem wszystko spowiło się we mgły błękitne — i Jerzy uczuł, iż zapada się w otchłań bezdenną. Poruszył się gwałtownie, otworzył oczy: sąsiad chrapie, szyby pozieleniały od świtu, świece w latarniach pożółkły.

Opadły ciężkie powieki, i Jerzy wkrótce zasnął na dobre.

A spał tak twardo, że prawdopodobnie minąłby swoją stacyę, gdyby go nie zbudził konduktor w chwili, gdy pociąg miał już wyruszać z „Tuław.“ Na szczęście Jerzy miał szczupłe i lotne pakunki, zdążył więc wczas wszystko pozbierać i wyskoczyć.

W kwadrans, pełen beztrościwej herbaty i skamieniałego pieczywa, stał na schodach małej stacyjki i dobijał targu z odzianym w powłóczyste szaty właścicielem długiego, opłatanego wózka i małych koników

Żyd żądał dziesięć złotych, a konkurentów nie miał, bo, jak sam objaśnił, chłopskie furmanki zostały zabrane pod rzeczy wojska, które ciągnęło z Tuław do Janowca na „letni lagier.“ On zaś z powodu zachodzącego szabasu nie mógł jechać, ale gotów jest za lichy pieniądz dostawić „w mig jaśnie pana“ do samego „Wimierza.“ W końcu jednak, wyczerpawszy cały zapas najuroczystszych zaklęć, aż do „złamania nóg“ włącznie, zdecydował się „stracić,“ zgadzając się na rubelka i obietnicę napiwka za dobrą jazdę.

Po chwili Jerzy znalazł się na wózku, pakunki pod kozłem, a na koźle, procz woźnicy, jego młodszy brat i niezwykłej objętości siostra żony, którzy w odpowiedniej chwili wyrośli, jak z pod ziemi.

Swisnął bat, zadreptały koniki i wózek nadspodziewanie prędko potoczył się po bitym gościńcu...

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Chimera.

Jesteśmy brutalni, ograniczeni i nieopatrzni — my ogół. Przed kilkunastu laty wychodziło w Warszawie pod redakcyą p. Z. Przesmyckiego *Życie*, pismo poświęcone „czystej“ sztuce, które upadło. Zdawało nam się wówczas, że zdmuchnięta została zwyczajna świeczka dziennikarska; tymczasem, jak nas poucza w swym nowym prospekcie p. P., zgasło wtedy słońce, po którem stało się „ciemniej,“ a wreszcie dziś „laurowo i ciemno.“ Ale dobry Febus Apollo ulitował się i nie pozwolił nam dłużej pozostawać w mrokach: co dwa tygodnie wyjeżdżać on będzie na złocistym rydwanie z pochodnią światła w ręku. Nowe to światło zwać się ma *Chimerą*. Grecy klasyczni wyobrażali sobie tę postać z przodem lwa, tyłem smoka a środkiem kozy; nowocześni kapłani piękna usymbolizowali ją (na winiecie prospektu) w głowie kobiety z dziką i chorobliwą twarzą, z pasmem bezładnych włosów, zakręconem około przerażającego oka, z wyrazem takiego bólu, strachu, obłędu i wyniszczenia, jak gdyby ta bohaterka od miesiąca nic nie jadła, przed chwilą ukończyła długi szereg ataków histerycznych i po napadzie furyi wsadzona została w kaftan. Pod tym znakiem redakcya oducząć nas będzie „odzierania sztuki z szat królowskich i wprzęgania jej w jarzmo przyziemne,“ kształcić w czci dla „dzieł obszarowej, przepastnej twórczości,“ wyprowadzać na widownię „kapitalnych twórców naszych doby dzisiejszej,“ słowem, będzie „świątynią szczerego, zbożnego i gorącego kultu dla sztuki, z absolutnych płynącej źródlisk,“ strażnicą odwracającą od nas, nieostrożnych barbarzyńców — „groźne niebezpieczeństwo.“ Dzięki.

Wyznajemy jednak otwarcie, że wszystkie te „niebosiężne wzloty, otchłanne głębie, mistyczne rozlewności, przepastne i obszarowe twory, kapitalni twórcy i absolutne źródliska“ dotychczas nie zdołały przejąć nas — że tak powiemy, szczytodążnym zachwytem. Ale jeżeli nie było to wynikiem tępości umysłowej i miało swoje oparcie na zdrowym rozsądku, który dotąd nawet w estetyce nie dostał dymisyi dla dobra służby, to w danym razie pocieszamy się wielokrotnie stwierdzonem doświadczeniem, że często nowe pisma bywają lepsze od swych prospektów.

Kąpiele ludowe.

Co parę miesięcy przypominają się społeczeństwu naszemu kąpiele ludowe. Cała nasza prasa bez wyjątku niemal, bez różnicy barwy usiłowania te popiera, wołania hygienistów podchwytuje i w zgodnym chórze melodyi solowej wtóruje. Obecnie Wydział kąpieli ludowych przy Warsz. Tow. Dobroczynności ogłosił maleńką broszurę agitacyjną („Kąpiele ludowe w W.“ z kartą tytułową pomysłu Fr. Kostrzewskiego str. 14), w której opowiedziano dzieje Wydziału i jego pracę od chwili zapoczątkowania działalności społecznej w r. 1894 aż do dni ostatnich. Nie wielkie to są rezultaty—dobrze jednak, że można na tem miejscu zaznaczyć, że kąpiele ludowe *są*, że *lud* warszawski kąpać się zaczyna. Rzecz pewna, że pierwsze kroki na tym nowym u nas zagonie są trudne: niejedno gorzkie rozczarowanie czekać musi wydział kąpieli ludowych, jak to już miało miejsce z budynkiem chybionym „Janiny“, z dzikim obyczajem kąpiących się używania do czyszczenia skóry „podchloranu wapna“ (t. z. chlorku) i t. p. Czyby jednak doświadczenie zagranicą zdobyte wcielone we wspaniałych gmachach *Volksbad*'ów berlińskich i w literaturze temu przedmiotowi poświęconej nie mogły w niewielkiej choć części rozczarowań tych zmniejszyć? Wszak człowiek jest wszędzie tym samym. Pewien Włoch, widząc kichających Czerwnoskórych zawołał: *tutto il mondo e uno paeso* (cały świat jest jednym krajem), więc i robotnik niemiecki dziś znajdujący się na tak wysokim szczeblu kultury, był kiedyś równie nieobyczajnym, jak nasz. Pewnie tedy i Niemcy posiadają liczne w tej mierze doświadczenia, któreby pozwoliły zmniejszyć stopień ryzyka przy przedsięwzięciach naszych.

Zbierzmy kilka dat. W lutym roku 1898 oddano do użytku publiczności pierwszą kąpiel „Janina“ przy ulicy Stawki. Kosztowała 9785 rubli. „Liczy 11 klatek natryskowych oraz jedną łazienką. Opłata wynosi 3 kop. (za wannę 10 kop.). Kąpieli wydano ogółem w 1898 r. 22689 natryskowych i 785 wannowych, a w r. 1899 26014 natryskowych i 767 wan. Dochód nie wystarcza na pokrycie kosztów. Niedobór, który w pierwszym roku wyniósł 1169 rb., a w drugim 1449 rb. pokrywają „gwaranci“ (pp. Rau, A. Natanson, Bloch, Berson, Bauman, Pfeiffer, Wortmann, Meyer, Wertheim, pani Bogk, Levy, Baranowski, Szebeko i Szoltze) do wysokości 2600 rb. rocznie. W r. 1899 przystąpiono do budowy drugiego zakładu kąpielowego na Pradze przy ulicy Petersburskiej. Budynek będzie murowany, piętrowy, z trójnasób większą ilością natrysków aniżeli w „Janinie“, posiadać będzie nadto łaźnię parową oraz pralnię. Koszt przewyższy w czwórnasób wydatki na pierwszy zakład kąpielowy.

Medycyna a reklama.

Nie masz chyba większej ironii nad starorzymskie przysłowie: *Galenus dat opem*. Położenie materyalne młodego lekarza oraz jego pozycya społeczna są tak mizerne i niewyraźne, że wielu niepowołanych powinny odstraszyć od szukania sposobu zarobkowania w tym zawodzie. Po kilku latach ciężkiej pracy umysłowej, biegania po klinikach, laboratoryach, korepetycyach nie zdobywa młody lekarz, nie mówię już środków do życia, ale nawet tego zadowolenia moralnego, jakie zwykle daje postawienie punktu nad wstępnym okresem życia. „Młody lekarz“ jest dziś jednym z najmodniejszych tematów dowcipkowania: każda matka, której dziecko bodaj raz w życiu zakaszlało, czuje się w sprawach medycyny nieskończenie kompetentniejszą od niego, a w najdrobniejszym zabiegu mechanicznym około chorego przowyższa go o wiele lada felczer. Bardzo wymowną ilustracyą smutnego stanu rzeczy jest fakt ogłoszony niedawno przez niemieckie pisma lekarskie: oto niespełna miesiąc temu w Charlottenburgu pod Berlinem kilkudziesięciu młodych lekarzy podało prośbę o wsparcie do gminy żydowskiej z powodu braku środków do życia. Gmina odmówiła z powodu braku funduszów. A u nas? U nas na wszystkie dolegliwości istnieje jedno uniwersalno-magiczne słowo: prowincya. Na młodych lekarzy sypią się w prasie papierowe pioruny za to, że nie osiedlają się na prowincyi, że gnieżdżą się w Warszawie, gdzie nęcą ich rozrywki i życie towarzyskie. Zapominają tylko ci gromowładni, że lekarz zaraz po ukończeniu studyów jechać na prowincyę nie może choćby dla tego, że nie jest przygotowany do tej ciężkiej a wszechstronnej pracy, jaka go tam czeka (położnictwo, chirurgia). Starszych zaś odstręcza od wyjazdu—kto wie czy nie bardziej od monoton-

---

Dzień był piękny i jasny, droga po wczorajszym deszczu bez pyłu, wyborna, jak to mówią, rzemienna.

Jerzy dawno nie był na wsi, a od czasu pójścia do szkół nie widywał jej w czerwcu. To też z uczuciem niezwykłego podziwu i serdecznego rozrzewnienia rozglądał się radośnie po polach, pokrytych zieloną runią bujających zbóż. Późniejsze pszenice wyglądały jeszcze jak trawy, poskręcane w rurki, jare zaś żyta okwitały i nastroszone kłoski wznosiły czupurnie do góry. Lekko falujące niwy, trącone świeżem westchnieniem rannego wiatru, i drżące liście przydrożnych drzew, perliły się jeszcze srebrnym pyłem wysychającej rosy.

Po jednej stronie drogi za płaszczyznami pokratkowanych pól zapalały się błyskiem stali lśniące sploty szerokiej rzeki, nad którą, niby wielkie ciała płowych lwów, wygrzewały się w słońcu ławice piasku.

Po drugiej stronie wzdymały się ku niebu szeregi wyniosłych, ale łagodnych wzgórz, skąpanych w przepychu blasków rozpalonego do białości kręgu, który, czepiając się promieniami jasnego błękitu, dźwigał się coraz wyżej i wyżej po stropie niebieskim. Wzgórza u dołu były poszyte nizkimi krzewami, na szczytach zaś pokryte mieszanym lasem, gdzie na tle ciemnej zieleni drzew iglastych odcinały się żółto-zielone kępy brzóz i klonów. Nieraz taka jaśniejsza plama sprawiała wrażenie nagłego światła, tryskającego z gałęzi.

Cały krajobraz był niezwykle ciepły, soczysty i świeży i nosił szczególne znamię wybujałości i nadmiaru siły.

Elastyczne źdźbła zbóż i ziół po przejściu fali wichru odginały się gwałtownie, jak pręciki stali. Młode pędy przydrożnych drzew strzelały wprost przed siebie, jakby się chciały oderwać od starych, zczerniałych konarów, a lśniące liście były grube i mięsiste.

Przepojone żywicą i zapachem pól powietrze, przeźroczyste, jak kryształ, miało też jędrność kryształu; przytem, zdawało się, że trzepoczące się w niem skowronki są widomymi pulsami jego życia, a że pulsy te biją w krysztale, więc tętno ich staje się pieśnią dźwięczną i donośną...

Jerzy, podniecony urokiem tych świeżych wrażeń, prócz zachwytu uczuwał taką nieprzepartą potrzebę ruchu, że rad był, gdy wózek, skręciwszy w bok, zaczął skakać po kamienistej drodze, podrzucając go wgórę. Mówić za to nie miał ochoty i natarczywe badania żydka, co do celu podróży, zbywał monosylabami, lub energiczną komendą: jedź prędzej!

— Ciężka droga panie! — odpowiadał żyd, szarpiąc lejcami i wymachując batem.

— Kamienie i pod górę! — dodawał z kozła przybrany brat, a otyła siostra sapała, jak trzeci koń.

W końcu wdrapali się na szczyt wzgórza, i Jerzy ujrzał naprzód palący się w słońcu złoty krzyż, potem wieżyczkę kościołka, a następnie w kotlinie grupę skupionych domków; od tego jądra rozbiegały się w różnych kierunkach żółte paski dróg, wzdłuż których, jak pochowane w trawie omszałe kamienie, leżały w gęstwinie sadów wiejskie chaty.

Był to Wimierz.

(D. n.).

nego życia prowincyi — pewien fatalnie utarty pogląd na lekarza zamiejskiego, jako na rzemieślnika obcego postępom nauki—jednem słowem partacza. Opinia taka nie jest wielką zachętą do pracy, a wykorzenić jej nie zdołały nawet żywe argumenty (Biegański, Rajkowski, Rutkowski i inni). Tak więc pozostaje w Warszawie tłum proletaryatu lekarskiego, który pomaga sobie, jak może. O tem właśnie *pomaganiu sobie* chcielibyśmy powiedzieć słów kilka. Rozumie się, że najpotężniejszym środkiem jest tutaj, jak wszędzie — reklama. Więc po za ogłoszeniami płatnemi w kilku naraz dziennikach (istnieją nawet t. zw. *abonamentowe* ogłoszenia—to też niektórzy ogłaszają się codziennie)—ten i ów kleci artykuliki popularne z zakresu lecznictwa i hygieny i zamieszcza je w pismach nielekarskich. Niektórzy dokonywają prawdziwie czarnej magii w wydobywaniu niezliczonych projektów, pomysłów i planów hygienicznych, z których nikt nigdzie i nigdy nie skorzysta; inni popisują się odczytami, jeszcze inni budują książeczki popularne przeważnie z dziedziny syfilidologii i neurastenii płciowej—silnie obliczone na efekt—bardziej szkodliwe, niż pożyteczne—i systematycznie w ciągu kilku lat ogłaszają je w gazetach i t. d. i t. d. Są to jednak wszystko rzeczy stosunkowo niewinne. Bywa i gorzej. Jesienią r. z. po zjeździe przyrodników i lekarzy w Krakowie najlepszy puzon krajowy: *Kuryer Warszawski,* począł ogłaszać w tekście nazwiska *niektórych* lekarzy, powracających z zagranicy. Powtarzamy wyraźnie: *niektórych*—i to bynajmniej nie uznanych powag. Takich przykładów możnaby przytoczyć więcej. Oto jeden z najświeższych: Kilka tygodni temu grono młodych lekarzy założyło dyżury lekarskie p. n. „Stała pomoc lekarska we dnie i w nocy", która „ma być dla domów prywatnych tem, czem „Pogotowie ratunkowe" na ulicy." Specyalne wyjaśnienie założyciele głosi nadto: „Dyżury lekarskie wynikły z *prywatnej* inicyatywy, mają na celu niesienie pomocy lekarskiej *płatnej* w mieszkaniach prywatnych i nic wspólnego ani z nazwą, ani z instytucyą Pogotowia ratunkowego nie mają". Dotychczas wszystko w porządku. Aliści kilka dni temu tenże najlepszy puzon krajowy ponad rubryką „Pogotowie ratunkowe" rozpoczął podawać codziennie wiadomości następującej treści: „Stała pomoc lekarska udzieliła w dniu wczorajszym porad tyle i tyle i t. d." Co to jest? Jeżeli Pogotowie ogłasza ilość przypadków, w których została podana pomoc, to ma na to zupełne prawo—bo jest instytucyą społeczną. Ale wy panowie od „Stałej pomocy"—pobierającej zapłatę! Czy nie zadużo, szanowni państwo, reklamy i poniżenia godności lekarskiej?.. Czy nie za dużo?

Telefony.

Dnia 1 stycznia r. b. upłynął termin koncesyi międzynarodowego Towarzystwa telefonów Bella na dzierżawę sieci telefonowych w pięciu wielkich miastach. Otóż przed paru miesiącami sprawę tę rozstrzygnął komitet ministrów, mianowicie postanowił oddać prawo eksploatacyi telefonów temu przedsiębiorcy, który ofiaruje warunki najkorzystniejsze. Do konkurencyi dopuszczono także zarządy miejskie na podstawie osobnego pozwolenia ministeryum spraw wewnętrznych. Termin dzierżawy oznaczono stosunkowo dość krótki: 18-letni (do r. 1919). W sprawie telefonów warszawskich stanął do współzawodnictwa nasz magistrat z dokładnym planem, z góry już opracowanym przez rzeczoznawców. Według tego projektu, miano zmienić system łączenia telefonów drutami, a natomiast wprowadzić komunikacyę podziemną według systemu Hultmanna. Nadto projektowano wprowadzenie systemu podwójnego przewodników, celem ochrony łączników od wpływów atmosferycznych i innych. Koszty przeróbek i ulepszeń obliczono na milion rubli. Czysty zysk z całego przedsiębiorstwa przynosiłby miastu rocznie 107,870 rb., tj. około 10%. Magistrat warszawski jednak nie utrzymał się na licytacyi, zwyciężyła go firma szwedzka Sedergen, która podjęła się dostarczyć klientom telefonów o rubla taniej, niż proponował magistrat, mianowicie zobowiązała się pobierać po 69 rubli rocznie od każdego abonenta. W zasadzie gospodarka miejska byłaby korzystniejszą, gdyż nie ma ona na celu zysków osobistych, a więc mogłaby dać na użytek ogółu dobre i względnie tanie urządzenia telefonowe. Czy jednak projekt proponowany byłby ściśle wprowadzony w życie, jest bardzo wątpliwem, skoro przypomnimy sobie, ile było obietnic co do reformy gospodarki tramwajowej, a jak mało w rzeczywistości zrobiono.

Bądź co bądź, na zmianie obecnych warunków publiczność zyskuje bardzo dużo. Dotychczas abonament telefonów był zbytkiem (150 rb. rocznie), na który mogli sobie pozwalać tylko ludzie zamożni, a może dopiero w dalszej przyszłości — średnio dostatni. Telefony stały się dziś tak niezbędnym środkiem komunikacyjnym, jak poczta; do gospodarki społeczeństwa i jednostek wnoszą one olbrzymią oszczędność — pośpiech. To też może się staną w całem znaczeniu dostępnemi dopiero wtedy, gdy się wysuną z rąk przedsiębiorców, mających na celu przedewszystkiem zyski własne.

W oznaczeniu względnie krótkiego terminu dzierżawy widzimy dążność do upaństwowienia tego rodzaju komunikacyi. Już dziś rzeczoznawcy przemawiają za gospodarką skarbową i na jej usprawiedliwienie przytaczają następujące dane: Według wykazów urzędowych, Rosya posiada w miastach prowincyonalnych 73 sieci telefoniczne, urządzone przy miejscowych biurach pocztowo-telegraficznych. Działają one o wiele dokładniej i kosztują taniej, niż inne. Dodać przytem należy, iż miasta prowincyonalne z powodu szczupłej liczby abonentów, są najmniej korzystne dla eksploatacyi. D. 1 stycznia 1899 r. było tylko 25 sieci z liczbą abonentów powyżej 200, tyleż było z liczbą abonentów od 100 do 200, reszta (23) miała mniej, niż po 100. Pomimo to jednak — jak zaznacza *Rosya* — dochód z tych niezbyt zyskownych i tanich telefonów wyniósł 2,539,000 rb. W stosunku do dochodu ogólnego stanowi to 58% Pokrył on nietylko wszystkie wydatki, lecz dał nawet czystego zysku 233,000 rb. Doświadczenie stwierdziło, że każda sieć telefonowa w ciągu niespełna czterech lat pokrywa koszty budowy i rozwoju, w końcu zaś czwartego zaczyna już przynosić zyski skarbowi. Takie wyniki niewątpliwie doprowadzą do upaństwowienia telefonów, a więc i do uprzystępnienia ich ogółowi, to zaś wpłynie na olbrzymi wzrost abonentów, a zarazem i na rozwój komunikacyi. W takim razie należałoby się spodziewać jeszcze jednego, bardzo ważnego warunku: zwiększenia liczby pracowników przy obsłudze telefonów i zapewnienia im dobrej płacy.

Nowy konkurs „Gazety Sądowej."

W nr. 1 *Gazety sądowej* znajdujemy notatkę treści następującej: „Grono studentów prawa, ktorzy ukonczyli uniwersytet warszawski w r. 1898. w połączeniu z innymi ofiarodawcami złożyło na nasze ręce rubli 300 z przeznaczeniem tej kwoty na konkurs podług uznania redakcyi. Uzupełniwszy tę kwotę do rubli 500, ogłaszamy niniejszem konkurs na monografię prawną pod następującymi warunkami: 1) Treść pracy stanowić może *komentarz*: a) do ustaw robotniczych lub włościańskich, wydanych u nas i za granicą; b) do obowiązującego kodeksu polskiego z r. 1825, prawa o małżeństwie z r. 1836 lub ustaw hypotecznych. 2) Monografia dotyczyć może całokształtu wymienionych powyżej praw lub też ich części, a pierwszeństwo przyznane będzie pracy, która przy interpretacyi uwzględni teoretyczne pojęcie danej instytucyi prawnej w świetle porównawczem, a to niezależnie od przepisów obowiązujących. 3) Objętość studyum wynosić ma przynajmniej sześć arkuszy druku. 4) Termin oznacza się na 31 grudnia 1902 roku. Następuje szereg zwykłych rygorów konkursowych, wreszcie wiadomość, że sąd stanowić będą pp. Andrychiewicz, Domaszewski, Dunin, Konic i Leszczyński.

Dajemy miejsce tej wiadomości, widząc w niej objaw dodatni świadomości obowiązków społecznych w obozie prawników naszych. Nas, publicystów, każdy taki w miłości dóbr duchowych poczęty objaw, każde tej barwy zapoczątkowanie, każdy taki posiew przejmuje żywą radością i zawsze na pamięć przywodzi piękne słowa Lukrecyusza Carusa o tych, co „życia pochodnię niosą" (vitae lampadam ferunt). Nie chcemy też wcale do dyskusyi wprowadzać krytycznego fermentu — zaznaczymy tylko że nie możemy się zgodzić na tekst ustawy konkursowej, ograniczającej charakter monografii do „komentarza." Ten najłatwiejszy rodzaj literatury prawnej jest zarazem jej najniebezpieczniejszym rodzajem i największym postępu teoretycznego wrogiem. Wielka pod względem ilościowym literatura francuska nader mało posunęła naprzód pracę nad poznaniem *natury* instytucyj prawnych. Nierównie więcej na tem polu — nawet w zakresie właściwego prawa francuskiego — zdziałali Niemcy, albo i Włosi. A przyczyna? Komentarze. U nas cywilistyki w sensie zachodnio-europejskim niema prawie zupełnie, o ile pozostawimy na uboczu kilka podręczników i kilka t. zw. klasycznych monografij. Sądzimy tedy, że nie należy wprowadzać ograniczeń: jeżeli ofiarodawcy wyznaczyli już pole wyścigu—bardzo a bardzo szerokie — to sądzimy, że można było, szanując ich wolę, zamiast „komentarza" żądać od piszących wogóle tylko „monografij."

Jeszcze jedno. *Gazeta sądowa* od lat mniej więcej dziesięciu stara się pobudzić prawników naszych do pracy teoretycznej za pomocą konkursów. Środek to bardzo dobry, wszędzie uznany i przyjęty, słabość natury ludzkiej uwzględniający. Sądzimy jednak, że zamiast sporadycznego „bicia w dzwony" i zwoływania gromadki nielicznej bawiących się piórem prawników naszych należałoby pomyśleć o przeobrażeniu konkursu w instytucyę stałą z wynictwem jedynego u nas pisma prawnego nierozerwalnie, organicznie związaną. Gdzieindziej istnieją katedry uniwersyteckie, akademie, tytuły, stypendya — wszystko to są bicze emulacyę młodzieży prawniczej do liczniejszego udziału w walce o palmę pierwszeństwa pobudzające. U nas o tem wszystkiem głucho. Niechże taki stały corocznie albo co dwa lata rozstrzygany konkurs będzie tych licznych środków surogatem. I pomyśleć tylko, że to wcale nie tak wielkich trzeba kapitałów, aby odsetki dwuletnie stworzyły sumę kilkusetrublową? I pomyśleć — ilu to mamy znanych a możnych, a społeczeństwo swe miłujących prawników!

Echa z prowincyi.

Nie możemy utyskiwać na wolne tempo rozwoju przemysłowego w naszym kraju. Minęły niepowrotnie te czasy, gdy publicyści nasi w głębokiej zadumie odgadywali, czy jest u nas możliwym „kapitalizm," i uroczyście zapowiadali, że straszydło to nie rozgospodaruje się w naszym kraju. Tymczasem rozgospodarowało się

ono na dobre. A wraz z niem zaczynają ukazywać się coraz liczniej jego ujemne skutki. Ruskin wystąpił przeciw industryalizmowi nie tyle z pobudek humanitarnych, ile estetycznych, jako przeciw ustrojowi, który niszczy powaby przyrody i zatruwa okolicę swymi odpadkami. Skargi na te jego skutki rozbrzmiewają w różnych dzielnicach naszego kraju, w których usadowił się wielki przemysł. Zwłaszcza są one głośne obecnie z powodu zatrucia wód stojących i bieżących przez odpływy fabryczne. W okolicach Łodzi, Pabianic i Lublina wody są oddawna zatrute, ryby opuściły te niegościnne miejsca dawnego swego pobytu, choroby epidemiczne znajdują podatny grunt skutkiem używania niezdrowej wody, bo innej niema. Rzeczki Łodka pod Łodzią i Ner zmieniły się na kałuże cuchnące. Obecnie nastąpiła kolej na Częstochowę. Warta pod miastem posiada dzisiaj „barwę atramentu,“ gdyż spuszczają do niej bez żadnej ceremonii wszelkie odpływy fabryczne.

Stan taki wymaga przedsiębrania środków zaradczych, które osłoniłyby mieszkańców przeciw ujemnym skutkom zatrucia wód. Przemysłowcy wybrali najprostszy i najtańszy sposób pozbywania się odpadków, nie biorąc pod uwagę wyników swego postępowania. Wprawdzie wyznaczono fabrykantom łódzkim termin do opracowania projektu oczyszczania ścieków fabrycznych przed spuszczeniem ich do kanałów i rzek. Ale rzecz poszła w odwłokę, a przesilenie przemysłowe, dzisiaj srożące się, dostarcza wytłomaczenia. Wobec tego, iż przemysł ogarnia coraz rozleglejsze dzielnice i wszędzie pozostawia te same skutki, należałoby podnieść energicznie sprawę zatruwania wód, istnieją bowiem środki uniknięcia tych następstw, uszczuplające dochodu panom pracojemcom, ale zabezpieczające zdrowie mieszkańców okręgów przemysłowych. Chodzi o to, ażeby władza prawodawcza zmusiła fabrykantów do większego uwzględniania w swoich obrachunkach hygieny publicznej. Słusznie oświadcza *Gazeta Lubelska,* podnosząca kwestyę ścieków fabrycznych: „Na cóż się przyda praca hygienistów nad poprawą warunków zdrowia ludzkiego wobec ciągłego zatruwania wód krajowych?“

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

—◆—

Cezary Jellenta: *Nurty,* ogniwa dramatyczne. Część pierwsza.

Utwór swój p. Jellenta nazwał nie dramatem, lecz tylko „ogniwami dramatycznemi.“ I słusznie, bo wiele tu rzeczy nie pogodziłoby się z wymaganiami sceny. Niespokojny duch nasz, oglądający siebie często na rozdrożu, nieskrysztalone, bo w okresie fermentacyi znajdujące się dążenia mają wiele pokrewieństwa z wnętrznemi burzami doby romantycznej, a pokrewieństwo to uwydatnia się nieraz zewnętrznymi kształtami budowy poetyckiej, czy to w ogólnych zarysach, czy w szczegółach i odcieniach. Pewna luźność i fantastyczność układu pojedyńczych scen w dramatycznym poemacie Jellenty, tak zgodne z usposobieniem głównej jego postaci, przypomni nieraz niejeden utwór dawniejszy, może „Fausta,“ może „Dziady,“ a najpewniej Sowińskiego „Z życia,“ i mistycznymi obłokami nakryte dramaty Słowackiego. „I oto wybaczyłem jej, że *moim włosom dodała* jeszcze więcej *trumiennego srebra,* przyznałem, że ma prawo sobą rządzić, kochać i *dyamenty swej duszy kazić.*“ Takie zwroty otwarcie się przyznają do swego pochodzenia, a one nadają koloryt całości. W stylu Słowackiego są również przeskoki od wzlotów najwyższych, od tęczowych barw do nuty ostrej, zgrzytliwie wpadającej w ucho; w jego stylu jest zamiana rozmowy deklamacyjnym monologiem, często niezgodnym z sytuacyą i charakterem osoby. Ojciec przychodzi upomnieć się o krzywdę córki, i nadeklamowawszy się dowoli i wysłuchawszy z kolei niemniej sążnistych tyrad, konkluduje: „Jesteś pan romantykiem, chorym, bardzo chorym“ i, wychodząc, uspakaja uwodziciela zapewnieniem, że „wróci równowaga.“ Nic dziwnego. Przecie przyszedł w usposobieniu wielce pokojowem, złożył hołd pisarzowi, obraził się o to, że Stefan poczytał go za Shylocka, upominającego się o swój funt mięsa. Przemawia jednak za to językiem świetnym, jak wszyscy u Jellenty, jak sam Jellenta. Co prawda, czuć tu niekiedy pewien przymus, czuć, iż to i owo nie jest swobodnym wylewem cisnących się obrazów i słów; autor nietylko pisze pięknie i oryginalnie, lecz stara się tak pisać, choćby mu czasem odpowiednich zasobów brakło; forma wierszowa krępuje go nieraz i stąd powstają licencye, nie tyle śmiałe, co przykre. Ucho nasze odmawia swej zgody na dźwięki takie, jak: harmidru, meczty (meczety), chropy, cmoczki (całusy?) itp. Wątpić się godzi, czy będą komu smakować wyrażenia, jak: „co jest wiekuiste — nie dla świerzby chwili“, „do snu koleba przepyszna“; „jątrzy mi mlecze“; „korzące Zeusom ludy“; „ja—krwi roznieta“; „tworzywna roztocz“; „spieścić kogo“; „z tobą—albo wcale“; „wycie psa w księżyc“ itp. Te przeskoki od wykwintnej poezyi do dosadnej prozy, są niekiedy zanadto .. prozaiczne. Obrażona żona poety wykrzykuje: „Przecie raz i we mnie człowiek się upomniał o swe zwierzęce *juchy rozszalałej* prawa.“ Pomimo to wszystko nie potrzebuję przecież zapewniać, iż na ogół Jellenta pisze pięknie i barwnie, a wybuchowy styl jego doskonale jest zastosowany do natury tej postaci, która zawsze jest na widowni, a na której poeta skupił wszystkie promienie. Tą okolicznością zapewne tłomaczy się to, że inne osoby zarysowują się blado, a często są tylko sylwetkami, ledwie spostrzeganemi kątem oka. A jednak i ta główna postać widzialną jest w świetle chwiejnem. Zależy to może poniekąd od jej charakteru niezrównoważonego, jak to już mówiliśmy; może trudno się nam zoryentować, ponieważ mamy przed sobą zaledwie część utworu. Bądź co bądź, Jellenta-poeta miał do rozwiązania zbyt trudne zadanie — sprostać Jellencie-estetykowi, Jellencie-autorowi „Wszechpoematu,“ studyów o Słowackim i Dantem itp. Choć może wolałby, jak bohater jednej z jego nowel, dobywać raczej zasoby z głębi własnego ducha, niż „przejeżdżać się po cudzych karkach,“ lecz czy nie czuje w sobie, jak i tamten, jakiegoś zepsutego klawisza, który sprawia próżnię tam właśnie, gdzie oczekujemy najwyższego tonu? Nie umiał otoczyć swego bohatera stałą sympatyą, na przekór szaleństwom jego, ani utrzymać go na wysokości „aerolitu wszechidei,“ pomimo jego upadków.

Na wstępie poznajemy Stefana jako poetę cokolwiek lekkomyślnego, jako artystę subtelnego i rozkochanego w pięknie, lecz w pięknie zewnętrznem, w różach, w harmonii barw, w grze świateł i cieni, zależnego zupełnie od powiewów wiosennej przyrody i upodobania swoje ubierającego w popłatną dziś teoryę: „nie dla żołądków — piękno, co wykarmia ludy, a co jest wiekuiste — nie dla świerzby chwili.“ Nie wygląda on zresztą na twórcę „pieśni paroksyzmów“ i „muzyki jutra.“ Jest to raczej dość często spotykany typ człowieka lekkiego, swobodnego i — dla obcych — bardzo miłego, lecz dla najbliższych — ciężkiego, głęboko i bezwiednie przesiąkniętego samolubstwem. Nie jest to czarny charakter, lecz łatwo mu zapomnieć o wyciśniętych przez się łzach, bo na cudze cierpienia spogląda ślepym punktem swego oka. Niesympatyczny jest, bo nieszczery. Rozkoszuje się całą duszą kadzidłami, przyznaje się do krwi, „spiętrzonej wichurą ambicyi“; spiesząc wszakże na wezwanie wielbicieli, chełpliwie oświadcza: „przecie mym gołąbkom nie zrobię zawodu, komedya nazbyt warta, by ją widzieć z blizka.“ Ach, jeżeli oni są miernego wzrostu, to, poeto, bawiąc się nimi, nie urośniesz! Ale ty pozujesz przecież.. Otóż nie wiemy, czem *taki* poeta mógłby zjednać sobie serca liczniejszego koła słuchaczów, i nie domyślamy się w tym płytkim człowieku materyału na wyobraziciela jakiejś wszechidei, choćby w kształcie jej aerolitu. A dalsze dzieje Stefana nie zupełnie przyczyniają się do rozświetlenia tej zagadki. Miejscem spotkania z wielbicielami jego „Symfonii chmur“ mają być Tatry, a góry zagrażają zdrowiu ukochanej córeczki. Stąd by wypadało, że nie biorąc rzeczy tragicznie, możnaby odbyć wycieczkę samotnie, nie zmuszając do podróży żony i nie narażając dziecka. Gwałtowna tedy scena pomiędzy małżeństwem jest cokolwiek niespodziewana, ale mniejsza o to. Dość, że Stefan występuje jako zaślepiony tyran, świadomie niemal zamykający oczy na istotne niebezpieczeństwo i cierpienia, o ile coś stanie na przeszkodzie jego fantazyom. Ale przecież te fantazye — to właśnie natura poety. Widzimy go więc w Tatrach (akt II) i tu opanowały go jakieś straszne wizye. Czując pustkę w sobie, Stefan doświadcza złudzenia, że „jedna żywsza trochę podnieta rajem by mi była, złotym promieniem słońca dla więźnia“ i że wówczas „jużbym nic nie żądał od ludzi i od losu, syt czci i radości.“ „Podniętą“ tą staje się młoda poetka i adeptka autora „Symfonii chmur,“ Dela (akt III). Złudzenie się rozwiewa, zostawiwszy za sobą popielisko; nieszczęśliwy czuje próżnię, obejmującą go zewsząd coraz ciaśniejszym splotem. Myśl jego przepłynęła granicę zwykłych myśli ludzkich i „jak wyrodek ducha wśród globów zawisa między sferami ciążeń “ „Jestem sam w wszechbycie — wola — między mną a bliźnim zieją czarne bezdnie.“ W akcie IV znajdujemy Stefana już w „obcej stolicy“ (w Paryżu), jako rozbitka, który szuka ucieczki przed sobą w „klubie haszyszu.“ Przesuwają się przed nim widziadła odległych krain, widma znanych osób, fantastyczne twory wyobraźni, rozjaśnione blaskiem „wszechidei“ i szerszych uczuć. Tu dopiero wyrasta on w naszych oczach na symbol, a wzrost ten staje się jednocześnie objawem przełomu i zaczynem odrodzenia moralnego. Umiera Gustaw, rodzi się Konrad. Przedewszystkiem jeśli w wyobraźni jego, choćby haszyszem zatrutej, powstawać mogą tak piękne obrazy z głębią perspektywiczną za sobą, odziane w wiersz śliczny i dźwięczny — jest on prawdziwym poetą, i tylko możemy mieć ten żal do autora, że za późno dał nam to poznać, i że w poprzednich jego dziejach nie znajdujemy komentarza do słów: „Jam pyłek *duszy świata,* oderwany od niej, gdy w wirze swym pędziła w niebo ideału, wyrzucony w *samotną jazdę* po przestworzu; jam skra sieroca czucia, co przenika ludzkość... jam—zwiastun śmierci ducha i pierwsza jej drgawka! Wnet inne się oderwą dusz aerolity i stargawszy wiązadła współwoli, współmyśli, rozpoczną swą samotną, startą na atomy tułaczkę po bezmiarach... Kosmos ducha wciąż rzednie, coraz więcej iskier odłącza się od niego i błądzi samopas...“ Pewne światło na te wynurzenia rzucają wspomniane już wizye

w „klubie baszyszu." „I *przetom* ducha z ludzkiej wyrwał niwy, że ludzkość jest dziś jak *stępiony miecz*... I przetom drżał, by *w tym kamiennym tłumie brylą się nie stać bez cnót i bez wad*, co ani wielbić, ani gardzić umie." Może nie pragnął, jak Król Duch, zbrodniami swemi przynaglić wszechmoc boską do ukazania się widomie w toku spraw świata, jest jednak pewne pokrewieństwo między tem dążeniem, choćby szaleństwem wyrwać się ze wstrętnej, ospałej kolei zdarzeń — a ideą Słowackiego: „I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę, i chciał zobaczyć sługa — komu służę." Stąd ukazanie się Króla Ducha Stefanowi symboliczne posiada znaczenie. I czyż nie to widmo przywiodło za sobą jeźdźców pancernych? Obraz śliczny. „Coraz wyraźniej gwar skrzydeł się szerzy, i pochrzęst zbroic ucho mi łaskota, jakby nad hufcem stalowych rycerzy szła górą sokołów rota. Przebóg, to cudo! Orężni to święci, u ramion skrzydła im wieją pozłotne, orłowie w jedno z człowiekiem zrośnięci i z końmi w centaury lotne." Jeźdźcy smutnie się skarżą, iż napróżno gonią wroga i „mkną wiecznie jazdą pokutną." „Bieguny nasze srebrne są od piany, boki ich krwawe pod wściekłą ostrogą, potrzykroć ziemię ich cwał opętany przebiegł — nie znalazł nikogo... Myśmy jak mrący z pragnienia pielgrzymi na tej pustyni *Bezczynu*." Ale „Bóg zaklął w bagno i snem skuł tę ziemię i oddał leniwców tłuszczy... i miną wieki, nim geniusz Miłości i Nienawiści smok podniosą głowy i burzą dzieł swych zmiotą z ziemskich włości gnuśnego mułu pokrowy." Nic dziw, iż ten, kto takie widzenia miewa, zdolny jest uczuć ognie w swej krwi i zawołać może: „z wichry poszedłbym w zawody i obleciał wszechświat cały!.. Płynę w górę w chmur szyszaku, czarnych kłęby piorunnemi, w błyskawicznym burz zygzaku ciskam groźbę szarej ziemi"; nie dziw, iż zechce „zaludnić ziemię nowym gatunkiem człowieka," że uszczęśliwia go widzenie przyszłego pięknego i szlachetnego plemienia, którego nie przeje rdza małości... Jest to oznaka moralnego odrodzenia (akt V), które nie nastąpi błyskawicznie, lecz da możność przyjacielowi spostrzedz, iż „jakiś cieplejszy, ledwie wyczuwalny prąd go nurtuje" — a jemu samemu pozwoli nietylko odsunąć od siebie zmorę rozstroju fizycznego, lecz także pożądać znowu tych wizyj, wśród których samotna jego dusza, pyłek oderwany od ducha powszechnego, powróciła do źródliska swego. „Myśli moja, stłocz się i ukaż przedświt szczęścia." Następują teraz niezbyt wyraźne etapy odrodzenia tego—widok skromnych istnień ludzkich, które przecież nie gniją w bezruchu, okazują wielką subtelność uczucia i wychodzą z koła samolubstwem zakreślonego — aż do pokutnego powrotu do obowiązków. „Wracam w pokorze jak syn marnotrawny w łez własnych zdroju oczyszczony z grzechu, obłędny ból mój zda mi się tak dawny... jad i piołuny stały się zaczynem żyznej miłości... ustały pogonie widm Orestowych o obliczu sinem."

Widzimy tedy, jak głęboki i filozoficzny zakrój posiadają „ogniwa dramatyczne" Jellenty; lecz w pomyśle widocznie było coś niedokończonego i mętnego, jeśli wykonanie odpowiedniej wysokości nie dosięgło. Bo chociaż Stefan utrzymuje o sobie, iż upadki jego właśnie były uwarunkowane wzlotami („Swe chęci z łonam rwał, jak pęki wrzosu i wzbijał w lot podniebny tchem majaczeń, one jak ptaki od myśliwca ciosu, spadały w dół") — to przecież u poety z I-go aktu podobnych pragnień nie dojrzeliśmy wcale, a nawet zdało się nam, iż byłyby one sprzeczne z istotą natury tego płytkiego, zmanierowanego i osobłego człowieka. W drugim akcie występuje zaś jako chory nerwowo, tylko tyle. Bądź co bądź, nie dostrzegamy w nim działania jakichś przyczyn kosmicznych, któreby wpływały na niego, zarówno jak na ciżbę szlachetniejszych dusz jego pokolenia, powodując odrywanie się iskierek od ducha powszechnego. A i w dalszym ciągu nie widzimy żadnych sprężyn ogólniejszych, któreby z nieubłaganą koniecznością popychały go ku tej chwili stanowczej, kiedy „jad i piołuny stały się zaczynem żyznej miłości." I oto dlaczego częściej wygląda on na neurastenika, niż na „aerolit wszechidei," dlatego nie może on być ani Konradem, ani Henrykiem, ani nawet Manfredem. I jeszcze jedno. Już dawniej wymawiano mu krótką pamięć względem pewnych doktryn i haseł. Dlaczegóż je w drodze swojej pogubił? Jak się stało, że je odzyskał? I czy po dawnemu one w mgłę się nie zamienią?

Finał utworu nie jest umotywowany dostatecznie, z zewnętrznej przynajmniej strony. W marnotrawnego syna ugodził piorun na progu — umarło mu dziecko, które kochał, za którem tęsknił. Dlaczegóż jednak miało umierać koniecznie? Mniejsza zresztą o to, bo teraz chcielibyśmy już tylko rozstrzygnąć, jak sam autor ocenia własną kreacyę. Że symbolizuje w niej „nurty" powszechne, toć wiemy, świadczy o tem i zakończenie utworu. „Świat może stygnie, człowiek jednak ogniem wzbiera, a duch ludzki dopiero dramat swój zaczyna." Lecz istota tego dramatu jaśniej się może odsłoni przed nami w „Nurtów" części drugiej. Czekamy niecierpliwie.

A. Drogoszewski.

LITERATURA NIEMIECKA.

Jakób Wassermann: *Die Geschichte der jungen Renate Fuchs* (Fischer, 1901). — Laura Marholm: *Der Weg nach Altötting*. (Kirchheim, 1900).

Kto to jest Jakób Wassermann i kim jest ta Renata Fuchs, której dzieje opowiedzieć postanowił aż na 557 stronicach druku?

Spotykało się to nazwisko tu i owdzie, jak wiele innych i jak wiele innych odpływało na falach zapomnienia. Od czasu do czasu zdarzyło się przeczytać nowelę, nazwiskiem tem podznaczoną, nowelę, odbijającą od bezmiaru nowel, które się zapomina, tem chyba tylko, że dźwięczała w niej nuta szczerości, brzmiało w niej coś, co zdawało się mówić: „tak czuję, takich ludzi widziałem, tak ich rozumiem." Ludzie wszakże, których widział i rozumiał Wassermann, byli w literaturze po tysiąckroć widziani i stanowili już od dość dawna przedmiot nieciekawych psychologicznych dociekań. Spostrzegał sumiennie, powiedziałabym nawet—zbyt sumiennie, ale spostrzegał i stwierdzał, że... trawa bywa zielona. Większe jego prace, „Meluzyna," „Żydzi z Zirndorf," przeszły również prawie niezauważone. I bądź wskutek właśnie literackiej sumienności autora, bądź też wskutek nieproporcyonalności słów i przedmiotu, prace Wassermanna, mimo wielu zalet, czyniły wrażenie utworów nudnych i źle napisanych. Zostawiały zawsze uczucie jakiegoś braku, jakiegoś niezadowolenia: o noweli miało się ochotę powiedzieć, że ściśnięty w niej materyał byłby może powabny, gdyby go rozpiąć i rozciągnąć na krosnach powieści — z powieści miało się ochotę wykroić parę wdzięcznych, nowelistycznych obrazków.

Z pojawieniem się „Historyi młodej Renaty Fuchs" nazwisko Wassermanna stanęło z woli krytyki niemieckiej obok nazwisk najrozgłośniejszych. Książka poruszyła cały literacki świat Niemiec, zrobiła, jak to powiadają, „sensacyę." Od czasów, w których Gabryela Reuter ogłosiła koleje panny „Z dobrej rodziny," krytyka powieściowa Niemiec nie zanotowała podobnego wrażenia.

Przyznać muszę, że w dużej części nie rozumiem, dlaczegoby książka ta miała być objawieniem literackiem. Zestawiłam ją mimowolnie z powieścią Gabryeli Reuter, a jednak zestawienie takie jest prawie konieczne. Zarówno Gabryela Reuter, jak i Wassermann usiłują odzwierciedlić w opowiadaniu wewnętrzne i zewnętrzne dzieje duszy kobiecej, wyrosłej w pewnem bardzo określonem otoczeniu. Środowiskiem panny „Z dobrej rodziny" jest mieszczański, biurokratyczny dom niemiecki, otoczenie Renaty Fuchs — to bogata rodzina niemieckiego fabrykanta. Wychowanie bohaterki Gabryeli Reuter jest typowem wychowaniem panny z dobrej rodziny, wychowanie Renaty Fuchs ma wszystkie cechy edukacyi panny z lepszej rodziny. I Gabryela Reuter z przeciętnych i wcale nie tuzinkowych rysów tworzy *typ*, który pozostanie klasycznym typem, z tragizmu sfery wysnuwa konieczność rozgrywającego się wszędzie, w oczach naszych, dramatu kobiecego życia, Wassermann zaś z rysów, o których mniema, że są nieprzeciętne, układa mgławicę, która niczego nie określa i niczego nie tłomaczy, z przypadkowego dramatu wyprowadza nieuzasadnione wnioski o tragizmie sfery, nie opowiada koniecznych losów Renaty Fuchs, lecz kreśli koleje *pewnej* Renaty Fuchs, kobiety, która równie dobrze mogłaby być księżną Chimay, jak córką adwokata, doktora, profesora — kobiety, która równie dobrze mogła płynąć przez życie szczęśliwie, jak i nieszczęśliwie — byleby miała pieniądze. I mimo to, że Wassermann stara się oddać dramat *duszy* Renaty Fuchs, dusza ta wstępuje w krąg dramatu dopiero z chwilą, kiedy pojawia się pierwszy brak. Dramatyczne przygody Renaty płyną z nędzy, w którą — jako wykolejone dziecko *pewnej* sfery — popada; jaka to sfera? — ludzie bogaci. A jednak Renata Fuchs popełnić mogła wszystkie popełnione pomyłki i doznać mogła wszystkich zawodów, jakich doznała, najuboższą będąc dziewczyną. Mimo to wywodzi się ze „sfery," zaczyna cierpieć, gdy przychodzi głód, robi najbardziej niespodziewane skoki, jest nieobliczalna, w zewnętrznych odruchach niezrozumiała i — jeśli patrzeć na nią tylko przez pryzmat powieści — widzi się, że społecznie nie stoi za nią nikt. Zaś Gabryeli Reuter panna „Z dobrej rodziny" ma za sobą rzesze.

Wszelakoż zdaje mi się, że Wassermann chciał stworzyć typ. Stworzyłby go może, gdyby był szedł linią konieczności — tymczasem postępował po zygzaku przypadku.

Renata Fuchs jest, jak już wspomniałam, córką bogatego fabrykanta. Jest to dziewczyna niezwykle piękna, „królewska," inteligentna — dziewczyna z duszą. Różni się od sióstr, bardzo przeciętnych gąsek. Myśli dużo. Oczywiście o miłości. Jak sobie wyobraża człowieka, któregoby pokochać mogła? — nie wiadomo. Zaręcza się z... księciem. Dlaczego? Powiedzieć trudno. W dużej części dlatego, że książę jest „partyą." Ponieważ trudno przypuścić, aby w ten sposób odczuwała dusza Renaty Fuchs, trzeba przypuścić, że w ten sposób rachuje rozum sfery. Poznaje niejakiego Wanderera, estetyzującego dyletanta, mówi z nim parę razy, mówi pięknie, szlachetnie, objawia odczute zainteresowanie dla t. zw. kobiet upadłych i.... zrywa z księciem. Z tej epoki z zagadnień, które ją zajmowały, zanotuję jedno zapytanie:

„Niech mi pan powie, czy to konieczne, aby ginęły kobiety — te z dołu — po to, abyśmy — u góry — żyć mogły uczciwie?"

Dlaczego pytanie to po nad wszystkie inne zajmuje Renatę Fuchs — nie wiadomo. Czy wśród burzliwych przygód życia

znalazła na nie odpowiedź — również niewiadomo.

Z księciem zrywa potajemnie i proponuje Wandererowi, którego miłości jest pewna, wspólne z nim pożycie. Okazuje się, że Wanderer ma cztery tysiące guldenów rocznego dochodu, że więc życie jest możliwe. Nad tem zastanawia się, rzecz jasna, Wanderer, nie zaś Renata. Wyjeżdżają... Jest im razem dobrze. Czy Renata Wanderera kocha? — niewiadomo. Ojciec, dowiedziawszy się o „sromotnem“ jej z Wandererem życiu, wydziedzicza ją i przeklina. Ojciec jest zupełnie typowy. Tymczasem Wanderer, wskutek nieszczęśliwych spekulacyj brata, traci cały majątek. Muszą wrócić do Monachium—skąd są oboje — i tu nagle z przyczyn tak błahych i nieuchwytnych, że nazwy dla nich niema, Renata odsuwa się od Wanderera. On chciałby ją za każdą cenę przy sobie zatrzymać, do siebie przywiązać, kocha ją, szuka pracy, pracuje dla pozyskania dobrobytu, do którego Renata jest przyzwyczajona, popełnia nawet nieuczciwość; przychodzi do gwałtownych starć, scen i Renata z całą bezwzględnością zrywa z Wandererem bez kruszyny pamięci o dobrych chwilach, które mu zawdzięczała. Zna jakąś proletaryuszkę — do niej się przygarnia. I idzie już odtąd śladem kobiet bez steru i bez oparcia. Chwyta się pracy i rzuca ją, poddaje się woli i władzy najrozmaitszych ludzi, byle o jutrze nie myśleć, przyjmuje miejsce „towarzyszki do panien“ i zdeptana, upokorzona, powierza osobę i losy swoje nędznikowi, Graumannowi, który, dobrze rachując, przychodzi do wniosku, że na urodzie jej zrobi majątek. Znika Renata Fuchs i pojawia się na afiszach wiedeńskiego teatrzyku „Varité“ Renée Lusignon. I Renée Lusignon, królewska Renata Fuchs, staje się rzeczą Graumanna. To trwa dość długo — wreszcie okupuje się Graumannowi i chwyta się znowu pracy. Pracy w fabryce — za nędzne wynagrodzenie. Przypadek chce, że obejmuje pokój po znajomej swojej znajomej i przypadek chce, że w jakiejś zapomnianej szkatułce znajduje dwa listy niejakiego Agathona Geyera, galicyjskiego żyda, osoby, która niemal jako myt, wodzi się po kartkach książki. Agathon pisze:

„...Mam przekonanie, że pojawiają się za naszych dni kobiety, zbyt subtelne, dumne, delikatne, zbyt przejęte wielkością ideału, o jakim marzą, by mogły służyć niedoskonałej namiętności...

I dalej:

„...Wszyscy, którzy cierpią, są niemi... A cierpienie każde spływało na mnie i we mnie i gdy czułem, że mnie wypełnia, zrozumiałem zarazem, że nadszedł czas. Bowiem wierzę, że ktokolwiek siebie zbawia przez cierpienie i świadomość, zbawia tych wszystkich cierpiących, którzy nigdy wiedzieć nie będą.“

Na tej wierze opiera się praca miłości, praca czyniona przez Geyera wśród żydów galicyjskich.

Gdy zaś Renata czytała te słowa, zdawało jej się, że przynoszą jedyną wiadomość, na którą przez całe życie czekała.

W bardzo nieprawdopodobnych warunkach odnajduje Geyera. Ten jest wszakże umierający. Ostatnia noc jego życia jest dla nich obojga nocą miłości.

Beatus zwać się będzie syn Renaty i Geyera. I wychowanie syna wypełni resztę dni Renaty. Nadmienić tu należy, że Beatus jest pomostem zgody między córką a ojcem. Stary fabrykant przebacza... I nadmienię jeszcze, że na str. 14 książki, ta sama Renata „nienawidzi żydów.“ Dlaczego? Niewiadomo. Geyer zaś, niestety, jest żydem. Mniemam, że jest to „satysfakcya,“ jaką sobie samemu czyni autor, na złość Renacie...

Mogę oczywiście podać tylko najogólniejsze zarysy powieści. I przyznaję, że one to są właśnie najsłabszą stroną utworu Wassermanna. W tych ogólnych zarysach, wśród konturów, które zdają się być wycięte z jakiejś „chronique scandaleuse“ wielkiego miasta, występuje mnóstwo postaci mistrzowskich. Cała galerya typów tak pięknych i tak pierworzutnych, jakich oddawna nie widziała powieść niemiecka. Süssengutt, fanatyk wiary w kobietę, Graumann — zwierzę i „nasz sławny“ Gyndstikker, literat, są to rysunki skończone. A obok tego mnóstwo, aż za dużo, postaci drugorzędnych, kobiet i mężczyzn występujących z nierówną plastyką a znakomicie pochwyconych w słowie, w ruchu, w szczególe, który czasem, jak błyskawica, otwiera najdalsze widnokręgi. I taką się znowu ma ochotę powyjmować epizody i przedstawić je sobie jako całość i otrzymać w ten sposób cały szereg przepięknych nowel, dramatów i nawet... powieści.

Że tego jednak czynić nie można, zastanawiam się, skąd, z jakiego źródła płynie urok tej tak źle i miejscami tak banalnie, tak śmiesznie pomyślanej powieści; skąd pochodzi, że tragifarsa życia Renaty jest mimo wszystko dramatem duszy, co sprawia, że nie będąc absolutnie dramatem typowym, podsuwa myśl o jakiemś złe ogólnem, które łamie istnienie kobiece.

I przychodzi mi na myśl, że chociaż w powieści zło to nie jest pochwycone w sposób czysty i przekonywający, zło takie w życiu jest istotnie. Młoda panna ma o mężczyźnie bardzo mgliste wyobrażenie. Zanim kocha człowieka, kocha miłość. I nieraz kocha tylko miłość, gdy zdaje jej się, że kocha człowieka. Powoli z tych mgieł, w jakie wtuliła duszę męską, dusza ta zaczyna się wyłaniać, zaczyna mówić mową obcą, objawiać się w rysach nieznanych. Okazuje się, że to zupełnie „nie ten“ człowiek, zupełnie ktoś inny, chociaż mężczyzna mógł nigdy nie kłamać i mógł nigdy nie wmawiać, że jest nie sobą. I życie, ciężkie do przebycia nawet z człowiekiem kochanym, oparło się na straszliwej pomyłce, której już ani cofnąć, ani naprawić niepodobna. Nie każda potrafi tak bezwzględnie rzucić Wanderera, jak rzuciła go Renata Fuchs, i nie każdej, jak Renacie, życie przynosi wiadomość, na którą czekała. Więc żyje się w zupełnem wewnętrznem rozbiciu i jest to tragedya, obejmująca istotnie rzesze, chociaż nie stworzyła ani w życiu, ani w książce Wassermanna — typu. Tak bowiem nie musi być, chociaż tak jest i chociaż jest to najpowszechniejsza, trudna do pochwycenia tragedya życia kobiecego.

Nie wiem, czy o takiem rozbiciu myślał Wassermann, pisząc Renatę Fuchs. Wiem tylko, że gdy żadną miarą pogodzić się z tą awanturniczą bohaterką nie mogłam, pogodziło mnie z nią wreszcie współczucie dla tej pierwszej pomyłki, którą popełniła, zapatrzona w sfinksowe oblicze upragnionej miłości. Za pomyłkę zaś pokutować całe życie — to przecież jednak zbyt okrutne! Tak okrutnem bywa tylko... życie. Więc dobrze, że znalazła upragnionego Agathona Geyera, chociaż, skoro go znalazła, wolałabym, żeby żył.

Wkroczyłam w dziedzinę mi obcą, w dziedzinę roztrząsań nad „bólem i radością“ duszy kobiecej, którą to sferę badała przed laty znana czytelnikom *Prawdy* Laura Marholm. Powiedziała o tym przedmiocie dużo pięknych i słusznych, dużo dziwnych i bardzo jednostronnych rzeczy: we wszystkich wszakże twierdzeniach swoich broniła jednej tezy: konieczności kochania. Radziła kobietom, aby kochały, oczywiście aby kochały mężczyznę i obiecywała im wzamian wszystkie rozkosze dusznego zbawienia.

I gdy upłynęło właśnie tyle czasu, ile potrzeba było, aby teorye pani Marholm zdołały wniknąć w świadomość kobiecą, ta bardzo wojownicza autorka spostrzega, że skoro kobieta ograniczy się na kochaniu mężczyzny, zbawienia całkowitego jednak nie będzie. Dla całkowitego zbawienia bowiem trzeba nadto, a może i przedewszystkiem ukochać — kogo? Ludzi, dobro, myśl o zorzach dalekich, czyn? Nie, trzeba ukochać wiarę i krzyż.

Pani Laura Marholm nawróciła się, przeszła na katolicyzm i odbyła pobożną pielgrzymkę do Altötting. Z nowel, ogólnym tytułem „Pielgrzymka do Altötting“ objętych, wygląda twarz nowa, z dawnem obliczem pani Marholm nic już prawie wspólnego nie mająca.

Dlaczego Laura Marholm powędrowała do Altötting i czego spodziewa się po wierze? Mówi dość jasno:

„...Byłam dziś z mężem moim w Altötting i weszliśmy też do kapliczki. Pora była południowa. Oswoiwszy się z mrokiem, rozglądam się, patrzę: wchodzi kobieta i dźwiga dziecko na jednej ręce, kosz na drugiej. Była to jakaś biedna kobieta, dziecko zaś mogło mieć trzy albo cztery lata. Główkę miało owiązaną, jak gdyby było upadło, rozbiło się, wogóle, jak gdyby tej główki uczepiło się coś, co boli. Siedziało prosto i grzecznie, złożyło rączki do modlitwy i kobieta uklękła z niem przed obrazem Matki Boskiej. Nie mogłam oczu oderwać od tych rączek, bowiem w tych dwóch drobnych rączętach tyle było skupienia i tak wielka ufność, że powiedziałam sobie: Cóż dam dziecku mojemu, skoro mu tego dać nie potrafię?..“

...Chciałabym złożyć to dziecko w matczyne ręce, w ręce, które więcej znaczą, niż moje. Ta myśl spłynęła na mnie z ogromną jasnością w chwili, gdy stałam w kaplicy Matek nad Matkami. I w Jej ręce chciałabym złożyć nietylko moje dziecko, ale wszystkie te biedne, zziębłe, mrące z głodu i katowane dzieci...“

Pani Marholm z Altötting wyniosła podobno dużo pokrzepienia. Nowa jej książka wszakże nie pokrzepia.

Składa się z pięciu opowiadań bardzo nierównej wartości. W jednej z nich autorka zajmuje się nawet zagadnieniem średniowiecznie pojętego opętania, w które zdaje się wierzyć.

Z dawnej Laury Marholm została tylko zewnętrzna powłoka: łatwość opowiadania, wzorzystość stylu i energiczny, dziwnie z mistycyzmem nielicujący rozmach doskonałej publicystki. Miejmy nadzieję, że zalety te przydadzą się p. Marholm w nie tak bardzo może dalekich czasach... niemistycznych.

Malwina Posner-Garfein.

MALARSTWO I RZEŹBA.

Wystawa inauguracyjna. — Japończycy u Krywułta.

W zeszłym miesiącu otwarto w Warszawie pierwszy i jedyny gmach, poświęcony sztuce. Nie odznacza się on ani pięknem szczególnem na zewnątrz, ani nadzwyczajną wygodą — wewnątrz, może jednak służyć za przytułek dla sztuki, która dotychczas musiała po cudzych kątach „siedzieć na komornem“. Dzień otwarcia powinien był dla niej być dniem święta, ona powinna była rozpalić w dzień ten najpiękniejsze swe światła, porozsiewać wszędzie najświetniejsze swe blaski . . . a tymczasem dnia tego było prawie tak samo szaro w jej siedzibie własnej, jak za dni powszednich — dawniej. Stanęli do apelu artyści polscy w ilości znacznej, aby pokazać co mogą i umieją.

Idzie się długo obok tego szeregu obrazów w Salonach Zachęty, czasem błyśnie z rzadka plama harmonijna, czasem linja piękna, czasem skrawek życia i natury

wzrok zatrzyma, ale ducha niema . . . prawie... Bo oto jest Chełmoński, niedoceniony dotąd, niedostatecznie uznany, największy dziś malarz u nas, prawdziwie pierwszy i jedyny malarz *polski*. On pierwszy ducha natury ojczystej pojął i pierwszy odtworzyć go na płótnie się poważył. On jej duszę ogromną i dziwnej melancholii pełną tchnął w pejżaże swoje, przepięknc prawdą, imponujące prostotą. On pierwszy poważył się odtworzyć chłopa polskiego w jego postaci rzeczywistej bez sielankowych osłonek, bez tendencyjnego upiększenia. I jak każdy wielki talent, pozostał samotnym. Przestano go nawet naśladować, bo naśladownictwo szkodziło tylko naśladowcom, bo szczęśliwym trafem mieli oni dość zdolności na to, aby pójść własną drogą (Rapacki, Popowski). Tym razem wystąpił Chełmoński odświętnie. Wygląda to tak, jak gdyby chciał się zemścić na tej samej Zachęcie, która go tak systematycznie zniechęcała na początku jego karjery artystycznej. Zemsta godna jego talentu Bez Chełmońskiego dzisiejsza wystawa straciłaby prawie całą swoją wartość. Bo on dał stanowczo rzeczy najbardziej odczute, najbardziej prawdziwe. Jego chłop, trzymający garnek między kolanami, z głową zadartą do góry, wypatrujący na niebie lecące „bocki", na tle przepysznej łąki jest człowiekiem zupełnie żywym, tak żywym, że patrząc na niego, zapomina się o malarstwie. A ta łąka? Kto u nas, prócz Chełmońskiego, potrafi tak malować płaszczyznę poziomą, idącą od stóp widza, zda się, nie unoszącą się po płótnie w górę? Nieco sztywny jest chłopak na obrazie, lecz pomimo sztywności linji zupełnie żywy. Dziewczyna ze strachem owiec, to znów w swoim rodzaju poemat życia i prawdy, grzeszący jednakże tem, co jest zresztą właściwością Chełmońskiego, brakiem słońca. Trudno — Chełmoński ma widocznie zbyt melancholijną, zbyt rozemgloną duszę, aby mógł kąpać płótna swoje w słońcu. Jeśli on je odczuwa — to podczas zorzy tylko, gdy ono jeszcze z głębin ukrytych nie ukazało lic swoich promiennych, lecz wysyła dopiero na senną ziemię i senne wody pierwsze swe krwawo - złote promienie, lub gdy, idąc na spoczynek, wlecze za sobą ostatnie gasnące smugi. I dla tego ta zorza na jeziorze (w lesie do większego obrazu) jest przepyszna.

Po Chełmońskim obojętnie przechodzimy obok „wielkiej kompozycji" Kossaka, która jest niczem innem, tylko „kompozycją", obok szalonych lecz kolorystycznie wypłowiałych „utarczek" Brandta, obok bardzo wielkich, zdradzających dużo umiejętności i zdolności, lecz bardzo chłodnych obrazów Wilhelma Kotarbinskiego, mijamy całe szeregi większych i mniejszych płócien i płócienek, aby zatrzymać się przed Ruszczycem, Lentzem, Stabrowskim, Wyczółkowskim i niewielu innymi. Ruszczyc—to antyteza Chełmońskiego — nie Polak, nie melancholik, lecz jakiś mistyk o fantazyi barbarzyńcy północy. Gdy patrzymy na jego pejzaże, przypominają się nam mroczne sagi skandynawskie; jego lodowata, zimna, mroczna przyroda — to jakiś rozlany w naturze Tor, to jakaś wizya człowieka, żyjącego w krainie nocy i lodów. Ruszczyc w swoich pejzażach nie bawi się, nie śpiewa, nie rozmarza, lecz szumi złowrogo, jak las, gdy po nim idzie lodowy wicher, lecz chrzęści jak woda ogromna, po której ponuro płyną i rozbijają się złowieszczo kry. Jego pieśń—to nie nokturn, nie preludyum, lecz ponura wyjąca wichrem, szeleszcząca zwiędłym liściem, kłębiąca się w potwornych chmurach ballada.

Portret tym razem słabiej reprezentowany jest na wystawie, słabiej— jakościowo. Parę jest tylko takich, przed którymi dłużej się zatrzymać warto. A więc portret mężczyzny Lentza, niedokończony, jak to zwykle u tego artysty bywa, lecz bardzo żywy, doskonały w rysunku i wyrazie (wadliwą jest tylko ręka lewa, o spuchniętej górnej części), a więc portret męzki Wyczółkowskiego mistrzowski w rysunku, lecz słabszy w kolorze, wreszcie portret damy Kaufmana.

Ubogo wystąpiło malarstwo, lecz o ile uboższą jest rzeźba. Medaliony, portrety, parę intencyj na coś poważniejszego—oto wszystko. Z tych ostatnich wymienić można doskonałego na liniach ruchu „kosiarza" Szymanowskiego, nieco „biegasowskie „Na łonie ziemi" Turquier, rzecz interesującą w pomyśle, lecz słabszą w wykonaniu, bardzo szczery „Przestrach" Mazura i— znów ciekawego w pomyśle lecz uczniowskiego w robocie—„Neofitę" Janiszewskiej. Miękki, pieściwy jest w kształtach „konik polny" Kossowskiego, lecz cóż, kiedy wyraz i poza budzi wspomnienie o pewnych nieestetycznych kurc ach.

A w Salonie Krywulta urągają eleganckiemu tłumowi wieku XX-ego najnaiwniejsi może i najszczersi artyści świata — malarze japońscy z wieku XVIII-ego. I tłum ten przechodzi obok nich, wzruszając ramionami, bo dla niego dobrze namalowany guzik więcej jest wart, niż harmonia tonów, niż ekspresya, zdobyta środkami prostymi z lekceważeniem szczegółów, bo dla niego nos lub suknia więcej znaczy w sztuce, niż człowiek i dusza. A Japończycy z tych drobiazgów drwią, bo im chodzi o najogólniejsze, a zarazem najistotniejsze przejawy życia. Stąd to mistrzowstwo w określaniu ruchu lub wyrazu jedną śmiało zakreśloną, nie subtelizowaną linią, w uwydatnieniu prawdy kolorystycznej jednym tonem. Nic to nie znaczy, że noga wynaturzona jest w szczegółach, że ma palce przykręcane, że podbicie ma stale szablonową formę okrągłą, bo jej linia ogólna jest przepysznie prawdziwa i przedziwnie określa ruch. Nic to nie znaczy, że niebo zamalowane jest jedną barwą, bo ona określa ze zdumiewającą prawdą najcharakterystyczniejszy ton zasadniczy nieba o danej porze dnia. Dlatego Hokusai, Hiroshige, Ontamaro to w swoim rodzaju mistrze rysunku i koloru. A mają jeszcze oni ogromne poczucie harmonii tonów: nic tu nie krzyczy, nic się nie wyrywa, wszystko się stapia w jedną harmonijną symfonię.

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SZKICE LITERACKIE. Przewóska Marya Czesława „Z nowych dni." Syntetyczny zarys końca wieku. (Zawiera między innemi: O smutku w literaturze, Fryd. Nietzsche jako moralista i krytyk, Kobieta i postęp ludzkości), str. 329. Dubowski. C. rb. 1 k. 50.

MONOGRAFIE. Pleńkiewicz Roman: „Monografia szkoły handlowej im. Leopolda Kronenberga." Nakł. b. wychowańców szkoły, str. 192, LXI, 4⁰.

HISTORYA. Peyre Roger: „Napoleon i jego epoka." Przekł. Wł. Bukowińskiego. Zeszyt 1, c. 20 kop. Okręt.

MALARSTWO. Wawrzeniecki Maryan: „Rysunek i malarstwo." Praktyczne rady i wskazówki techniczne z 47 ilustr., str. 54. Nakł. zakł. fotochem. B. Wierzbickiego.

MEDYCYNA. Dr. Bregman Ludwik: „O padaczce." Patogeneza i etiologia. (Rzecz wygł. na IX zjeździe lek. i przyrod. w Krakowie), str. 27, c. 30 kop.

PODRĘCZNIKI. „Rękodzielnik amator." Ilustrowana szkoła robót domowych. Wykład popularny 28 rzemiosł i zajęć, z uwzględnieniem pracowni amatorskiej, t. I, str. 235, c. 1 rb 50 k., t. II, str. 238, c. rb. 2. (Oba tomy zawierają między in. introligatorstwo, fotografię, galwanoplastykę, kowalstwo, ślusarstwo, ciesielstwo, stolarstwo, koszykarstwo, oraz 610 rysunków i wzorów). Nakł. R. Kreczmera.

WYD. POPULARNE. Umiński Wład: „Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec" z 12 rysunkami, str. 82, c. 30 kop. Dubowski.

FILOZOFIA Straszewski Maurycy prof.: „O filozofii i filozoficznych naukach." str. 51. (Odbitka z „Przegl. powszech."). Nakł. autora. Kraków.

POEZYE

Podziękowanie.

Serdecznie ci dziękuję, stary,
A toć ja wyłem, jak pies z bólu.
Serce już kładło się na mary,
A tyś je wskrzesił, siwy królu.

I dziasiaj mogę pójść bez trwogi
Na moich snów prześnionych cmentarz,
Wrócić na zapomniane drogi
Z cichem zaklęciem: „Czy pamiętasz?"

Bo choć na świetnym tym spacerze
Wiatr wspomnień zlekka dusze muśnie,
Toć to znów snu mi nie odbierze,
Żal, jeśli ocknie się, wnet uśnie.

Czas, poczciwina zrobił swoje:
Drogę oczyścił, wymiótł ciernie,
Obciął zwiędłych snów powoje,
I to nie byle jak — misternie.

Serdecznie ci dziękuję, stary.
Prawda, żem duszę miał upartą:
Kochała swych urojeń czary,
Mimo, żeś szeptał wciąż: „niewarto."

Ha, zapomniałem na śmierć o tem,
Na co się często serce żali,
Że mur nietrudno rozbić młotem,
Lecz nikt go czaszką nie rozwali.

I obłąkało mię cierpienie,
Wyłem jak pies, nie tracąc wiary...
Dzisiaj inaczej te sny cenię—
Serdecznie ci dziękuję, stary.

Włodzimierz Perzyński.

O prawdę.

W sprawie „Ekonomisty."

P. Stefan Woyzbun, koncesyonaryusz *Ekonomisty*, korzystając ze swych praw oficyalnych, nadanych przez główny zarząd prasy, a nieprzysługujących mu wcale na mocy układu prywatnego, w ostatniej chwili samowolnie przeszkodził mi zawiadomić czytelników tego pisma o opuszczeniu przeze mnie stanowiska redaktora faktycznego i o wystąpieniu współpracowników. Z tego powodu jestem zmuszony za pośrednictwem *Prawdy* ogłosić następujące zawiadomienie: D. 1 stycznia r. b. opuściłem stanowiska kierownika i współpracownika *Ekonomisty*. Jednocześnie usunęli się dotychczasowi współpracownicy tego pisma: Ludwik Krzywicki, Henryk Forszteter, dr. J. B. Marchlewski, dr. Stanisław Grabski, Stanisław Koszutski, Kazimierz Krauz i Zygmunt Gąsiorowski. P. Woyzbun również przeszkodził mi zawiadomić ogół czytający o losach „Biblioteki ekonomicznej," która będzie wychodziła jako odrębne wydawnictwo, niczem niezwiązane z *Ekonomistą*.

Zenon Pietkiewicz.

KRONIKA.

Odprawa. Jakkolwiek przy zawiązywaniu między redakcyami stosunku wzajemnej wymiany swoich wydawnictw niepodobna być zbyt skrupulatnym, my jednak wyłączamy zeń pewne pisma, których moralny grunt leży niżej poziomu, według nas, niezbędnego dla naszej prasy, których przeto w swoim domu, jak niepożądanych gości, przyjmować nie chcemy. Do takich pism należy warszawskie *Słowo*. W końcu grudnia oświadczyliśmy jego redakcyi listownie, że od nowego roku nie chcemy go otrzymywać i nie będziemy mu posyłać *Prawdy*. Mimo to *Słowo* nie przestaje nam się narzucać, a w poniedziałkowym numerze zjawiło się nawet z paszkwilem, w którym jeden z pp. Godlewskich, pełniących tam obowiązki kawalerzystów napadających, oskarża nas w swym zwykłym delatorskim stylu, że z przypomnieniem historyi 20-lecia *Prawdy* urządziliśmy demonstracyę przeciwko jubileuszowi Sienkiewicza, że usuwamy mu z pod nóg piedestał dla postawienia na nim redaktora *Prawdy*, który ani pomysłem, ani czynem w owym szkicu nie brał żadnego udziału, itp. Mniejsza o tę denuncyacyę. Jeżeli kiedykolwiek mieliśmy jakieś osobiste życzenie względem *Słowa*, to tylko, ażeby nas ani na chwilę nie umieszczało w swem sercu, gdzie znaleźlibyśmy się w bardzo nieodpowiedniem towarzystwie, a jeżeli kiedykolwiek obawialiśmy się czegoś z jego strony, to tylko, ażeby nie przyznało się do najdalszego z *Prawdą* powinowactwa. Za wszelkie zaś jego nagany, posądzenia, paszkwile czuliśmy dlań stałą i szczerą wdzięczność, nie usiłując żadnym protestem zmniejszyć jego szerokiej i energicznie wyzyskiwanej swobody napadania bez odporu. Jednej tylko w obecnym wypadku i wielu podobnych doznawaliśmy przykrości. *Słowo* w swej przewrotnej grze publicystycznej używa Sienkiewicza, jako kozernego tuza, którym bije wszystkie inne karty. Że on sam nie widzi w tem dla siebie ujmy — to nas mocno dziwi, ale do narzucania mu gustu nie upoważnia. *Volenti non fit injuria.* Wierzymy jednak, że historya literatury powie o nim kiedyś z wielkiem ubolewaniem: w jakich rękach ten człowiek był kozernym tuzem!

Wiadomości społeczne. Wybory do parlamentu austryackiego, z miasta Wiednia zakończyły się powszechną porażką stronnictwa chrześciańsko-społecznego, tj antisemitów. Wskutek sojuszu inteligencyi z robotnikami, wybrano w pierwszym okręgu stolicy lekarza dr. Ellenbogena, demokratę społecznego 16,317 głosami przeciwko Bielohlawkowi (chrz. społ.), który otrzymał 15,338 gł.; w piątym okręgu zwyciężył tak samo Schumeier (społ. dem.) Mendera (24,236 gł. przeciwko 22,116). W Wiener Neustadt wyszedł z urny wyborczej Pernerstorfer większością 7,300 głosów.

Prasa. Wydawnictwo *Siewiernyj Kuryer* zostało zupełnie zamknięte wskutek rozporządzenia ministrów: spraw wewnętrznych, oświaty, sprawiedliwości i oberprokuratora świątobliwego synodu.

Szkoły. Łódzka dyrekcya naukowa rozesłała niedawno do nauczycieli szkółek miejskich okólnik, zabraniający udzielania uczniom płatnych zbiorowych lekcyj po za godzinami szkolnemi. Natomiast niektórzy z nauczycieli zwrócili się na mocy istniejących w tej sprawie przepisów, do naczelnika dyrekcyi z prośbą o pozwolenie urządzania w lokalach szkolnych i w godzinach wieczorowych lekcyj zbiorowych dla dorosłych w zakresie szkół początkowych. Petenci otrzymali odpowiedź przychylną.

— Towarzystwo lekarskie w Moskwie otrzymało od ministeryum spraw wewnętrznych pozwolenie na otwarcie specyalnych kursów aptekarskich dla kobiet. Kurs nauk będzie dwuletni, obejmujący wszystkie działy specyalności farmaceutycznych. Kobiety, kończące kursy, otrzymują prawo składania egzaminu przy wydziałach lekarskich uniwersytetów na stopień prowizora.

Zjazdy. W Moskwie 17—21 b. m odbędzie się zjazd działaczów na polu wykształcenia rolniczego. Do udziału w obradach zjazdu zaproszono przedstawicieli wszystkich szkół rolniczych w państwie.

Jubileusz. D. 30 grudnia obchodził w Poznaniu wysoce zasłużony jubileusz 40-letniej pracy literackiej Józef Chociszewski, wielkiego i znakomitego imienia pisarz ludowy. Ur. 1737 r. w Chełście (Ks. Poznańskie), początkowo nauczyciel domowy, od r. 1861 zostaje publicystą, bądź zasilając, bądź redagując: *Gwiazdkę Cieszyńską*, *Nadwiślanina Przyjaciela ludu* (w Chełmnie), *Katolika*, *Przyjaciela dzieci i młodzieży*, *Piasta*, *Dziennik Kujawski* (Inowrocław), *Lecha* (Gniezno). Procesów prasowych miał trzydzieści i kilka, przesiedział za nie 5 lat w więzieniu, broszur, dzieł i pism przeróżnych wydał około 2 milionów egzemplarzy.

Pomnik. Rozpisano konkurs na pomnik Ryszarda Wagnera w Thiergartenie berlińskim, gdzie znajdują się posągi Goethego, Lessinga i in. Przeznaczono na ten cel 100 tysięcy marek.

Koleje i komunikacye. Kolej transkaspijska, zbudowana przez gener. Annenkowa przed 10 laty, liczyła najdłuższy most drewniany, przerzucony przez rz. Amu-Darja, na przestrzeni $2^1/_2$ wiorst. Obecnie przystąpiono do zbudowania mostu żelaznego. Będzie on długi na 1,700 metrów, kosztować będzie 5 milionów rubli; na czele robót stoi inżynier Olszewski. Otwarcie nastąpi prawdopodobnie za pół roku.

Nauka uniwersytecka. Z Pragi pisze nam korespondent, że w semestrze bieżącym uniwersytet czeski liczy 3.192 studentów (w tej liczbie prawników 1,900, medyków 410, filozofów 650, teologów 130, farmaceutów 78), a niemiecki 1,179 (w tej liczbie prawników 600, medyków 290, filoz. 220, teologów 40, farmac. 22). Politechnika czeska liczy 1.267 studentów, a niemiecka 539. — Studenci czescy posiadają nader piękną i naśladowanie godną czytelnię i wypożyczalnię książek (Akademicka Citarna). Biblioteka liczy przeszło 25 tysięcy tomów. Wypożyczono w r. z. 15,416 tomów. Czasopism jest 574. Czytelnia liczyła w ubiegłym semestrze zimowym 984 członków, a w letnim 564. Rozchód wynosił 8,739 koron, a dochód — 8,789 koron: w tej liczbie miasto Praga daje rocznie 3,000 koron a stowarzyszenie budowy domu akademickiego 2.500 koron.

Ruch kobiecy. Zakaz poszukiwania ojcowstwa stale zwalczany od lat kilkudziesięciu przez wszystkich moralistów, a z małemi wyjątkami przez stowarzyszenia feministyczne, mający atoli wiele szczęścia u prawodawców i bezustannie obronną ręką wychodzący z ognia rozpraw parlamentarnych — znalazł się znowu na wokandzie w komisyi parlamentu francuskiego. Referent tej znowu komisyi, Goujon, postawił wniosek, aby poszukiwanie ojcowstwa zostało dozwolonem w wypadkach uwiedzenia, gwałtu, uwiedzenia przy pomocy nadużycia zaufania albo kłamliwych obietnic małżeńskich. Wniosek ten przekazany został nowej komisyi.

— W stanie Colorado już 10 kobiet zasiadało w parlamencie. W roku bieżącym wybrano jedną tylko, panią Ewangelinę Hearty — po raz drugi już pełniącą obowiązki deputowanej. W poprzednim okresie wyborczym przemawiała ona za wprowadzeniem sądów rozjemczych pomiędzy pracojemcami i robotnikami i otrzymała adres dziękczynny od 5,000 pracowników kolejowych, gdy przemawiała za poprawą ich bytu. — W stanie Georgia domagano się podniesienia granicy nieletności bezwzględnej kobiety do 16 roku — napróżno. W stanach, gdzie kobiety korzystają z praw wyborczych, granica ta podniesiona została do 18 roku życia. — W stanie Vermont wydano prawo, na mocy którego kobiety mogą obejmować posady urzędników miejskich i notaryuszy. — Izba wyższa Wiktoryi (Australia) odrzuciła projekt rządu ofiarujący kobietom prawo wyborcze. Rząd zamierza odwołać się do głosowania powszechnego (referendum).

— W Lipsku studenci odbyli zgromadzenie protestujące przeciwko uczęszczaniu kobiet na wydział medyczny.

— Hrabianka dr. Maria v. d. Linden, asystentka przy instytucie anatomicznym w Bonn, otrzymała od Akademii francuskiej za badania nad motylami nagrodę imienia da Gama-Machodo.

— W Badeńskiem w r. 1899/900 uczyło się ogółem 320 dziewcząt razem z chłopcami (koedukacya).

— W Rzymie na wydziale filozoficznym uniwersytetu habilitowała się pani Teresa Labriola, jako docentka prywatna. Przed siedmiu laty złożyła egzamin na stopień doktora praw i adwokata, nie wykonywała jednak tych czynności i pracowała w dalszym ciągu naukowo

Literatura polityczna. Królowa Małgorzata, wdowa po królu włoskim, Humbercie, pracuje nad biografią swego małżonka, która ma w niedługim czasie ukazać się w handlu księgarskim. Wiadomo, że autorka jest jedną z najzdolniejszych stylistek włoskich — dzienniki włoskie oczekują tedy arcydzieła.

Zmarli. Mulhall Michał G., słynny statystyk angielski, zmarł pod Dublinem 12 grudnia. Z dzieł jego wyróżnić należy „Dictionary of Statistics" (kilka wydań) i „Industries and Wealthy of Nations."

— Serpa-Pinto, słynny podróżnik afrykański, Portugalczyk, zm. w Lizbonie (ur. 1846). Trzykrotnie zwiedził Afrykę w celach kolonizacyjnych, ostatecznie większą część zaboru odbiła Portugalii Anglia (1889).

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi z Wilna. Najlepsze wskazówki znajdzie Pan w *Poradniku dla samouków* (wydawnictwo pp. Michalskiego i Heflicha, skład u Gebethnera i Wolffa), a mianowicie w zakresie historyi filozofii w części II (cena bez przesyłki 80 k.), a w zakresie innych dyscyplin filozoficznych w części IV (wyjdzie z druku niebawem). Wskazówki te opracował p. A. Mahrburg. — Nasza literatura jest niestety nawet pod względem tłomaczeń z języków obcych nader uboga.

Pani Jadwidze R. Podesta — odpowiadający naszemu burmistrzowi, czyli prezydentowi.

Panu W. K. w Płocku. W Akwizgranie istnieje tylko przy politechnice wydział handlowy (Kursus fur Handelswissenschaften). Oczywiście nie wytrzymuje on porównania z wyższemi szkołami handlowemi, jakie powstały i powstają w ostatnich latach w Niemczech (np. w Lipsku, obecnie w Kolonii, p. w *Prawdzie* korespondencyę z Lipska, nr 27 z r. z.) Wystarczy patent gimnazyalny. — Posady tylko prywatne.

Nie prenumeratorowi. „Pisownia polska, prawidła i ich uzasadnienie" A. A. Kryńskiego, Warszawa 1897, kop. 30. U Lindego: Jakub, wrzekomo, klient, zkąd.

— Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w r. 1901 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznaną będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi) ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899 i 1900; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięnia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *W. Holewiński.*

Członek Komitetu Sekretarz:

Feliks Kucharzewski.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Декабря 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.